



ROK LVIII

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

NR 32

WARSZAWA, 8 SIERPNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Nowe pole pracy. Feminizm a galanterja i uprzejmość—*C. Walewska*. Kongres międzynarodowej Rady w Waszyngtonie (dok.)—*M. Holder-Eggerowa*. Świat kobiecy (część II) c. d.—*Marja Grossek-Korycka*. Tydzień w Lubelskiem (dok.)—*Marja Dąbrowska*. Idylla na Arktyku (c. d.)—*Juljusz Wirski*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miłaszewska*. Piękna Pamela (c. d.)—*K. Bielańska*. O jednej zapomniano—*M. H.* Zagadnienia psychiki u zwierząt—*Janina Maszewska Knappe*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Wesołe przyjęcie w ogrodzie. Pióra...—*W. D.* Moda w epoce empire'u—*Spero*. O zachowaniu zdrowia—*M. D.* Choroby drobiu—*W. B.* Oszczędzanie czasu przy gotowaniu—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Nadesłane do Redakcji. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians”—*Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego Tadeusz Jakubowicz). ARKUSZ WZORÓW.

NOWE POLE PRACY



ie przestaniemy nigdy powtarzać kobietom: bierzcie się do pracy twórczej, do produkcji we wszystkich dziedzinach rolnictwa, rzemiosła, sztuki... To właściwa wasza rola, to odpowiada waszej psychice, najgłębszym waszym instynktom. Jak najmniej ślezczyć nad papierami, jaknajmniej stukać na ogłupiającej i denerwującej maszynie, jaknajmniej mechanizować się w pracy fabrycznej.

Kto nie czuje w sobie powołania do nauczycielstwa, kto nie posiada danych psychicznych do zawodu pielęgniarstwa, czyje zdolności nie odpowiadają wyższemu studjum, niech się bierze do szewstwa, ogrodnictwa, pszczelarstwa, jedwabnictwa...

Otóż to!

C'est le mot!

O tem właśnie mówić zamierzam.

Jedwabnictwo—„praca kobiet i dzieci“.

A teraz skąd przyszło mi mówić o jedwabnictwie?

Była przed wojną na Kaukazie fabryka jedwabnicza, której kierownikiem, jak to często w Rosji się zdarzało, był polak, p. Witaczek. Syn dyrektora fabryki zaznał się praktycznie i teoretycznie z jedwabnictwem, a gdy burze polityczne i wojenne wygnały polaków z obszarów cesarstwa, znalazł się w Polsce, już niepodległej, i pod Warszawą, w Milanówku założył wraz z siostrą, również wyspecjalizowaną hodowczynią jedwabnika, Stację Doświadczalną jedwabniczą.

W jakim celu?

Przedewszystkiem, aby zbadać, czy przemysł jedwabniczy, przynoszący tak kolosalne zyski innym krajom, nie da się zaszczepić u nas?

Stacja funkcjonować zaczęła w r. 1924, jako impreza całkiem prywatna. Ma za sobą już kampanję dwuletnią. Rezultatem obserwacji, prowadzonych z naukową ścisłością, zarówno na miejscu, jak i w innych punktach hodowli, jest stwierdzenie, że nietylko niema u nas żadnych zasadniczych przeszkód dla rozwoju jedwabnictwa, lecz, że nawet rezultaty pracy są o jakieś 20% wyższe w Polsce, niż w innych krajach.

P. Witaczek i jego siostra nie są u nas pierwszymi pionierami tej myśli. Kołatała ona do wielu już umysłów. Przed powstaniem 63 r. na lat 10 związano już spółkę jedwabniczą, która prowadziła nawet swoją fabrykę i produkowała znaczną ilość krajowych jedwabów. Burza 1863 zniszczyła te zaczątki. Ludzie, stanowiący spółkę, poszli na Sybir. Część majątku spółki przekazano jednak Towarzystwu jedwabniczemu, które w latach t. zw. „pracy organicznej” robiło duże wysiłki, by przemysł jedwabniczy w Polsce rozwinąć. Wyniki jednak były leżące. Rząd, nie rozumiejący własnego interesu, rząd barbarzyńców, poparcia żadnego nie dawał. Hodowle marniały i zakorzeniło się u nas mniemanie, że winny temu warunki klimatyczne, że hodowla jedwabnika u nas stanowczo udać się nie może. W broszurze o hodowli jedwabników i morwy S. i H. Witaczekowie wyjaśniają, że przyczyną niepowodzenia w okresie popowstaniowym była epidemia, która dotknęła wówczas nietylko naszą, ale i wszystkie europejskie hodowle. Epidemii tej i różnym innym

zarazkom zapobiega stosowanie metody hodowlanej Pasteure'a, która doprowadziła na nowohodowle francuskie i włoskie do kwitnącego stanu, a o której jednak u nas dotychczas nie pomyślano. P. Witaczek, posługując się nią, otrzymał, jako rezultat, iż na 1000 gąsienic jedwabnika ginęło tylko 2, podczas gdy w hodowlach innych krajów straty normalne dochodzą do 50 na 1000.

Prowadząc badania nad 200 odmianami jedwabnika, p. W. doszedł do przekonania, że najlepiej u nas udają się gatunki europejskie, t. j. francuskie i włoskie, a prócz nich—chińskie.

Warunkiem, niezbędnym dla hodowli jedwabników, jest hodowla drzew morwowych. I pod tym względem minione pokolenia przygotowały nam grunt wcale niezły. Hodowcy nasi z Milanówka przekonali się n. p., iż w samym Milanówku i najbliższej okolicy istnieje około 4 tysięcy drzew morwowych. Im bardziej na południe kraju, tem więcej morw. W Lubelskiem n. p. rosną one w dużej ilości. Znajdują się tam egzemplarze, liczące po kilkaset lat. Najlepszy to dowód, że morwa doskonale znosi nasz klimat. Ogólną ilość drzew morwowych w Polsce oblicza p. Witaczek na 100 tysięcy. Istnieje więc już gotowa podstawa do rozwinięcia przemysłu jedwabniczego. A oto, jak się rysuje stan aktualny jedwabnictwa w Polsce.

W r. 1924 istniało w Polsce 8 punktów hodowli jedwabników. Wyprodukowano w nich 80 kilogramów oprzędów. W roku bieżącym, dzięki propagandzie Stacji, mamy już punktów hodowli 40 kilka, a spodziewana produkcja wyniesie 800 do 1000 kilogramów oprzędów. Punkty hodowli rozrzucone są po całym państwie. Oczywiście, najlepiej udają się jedwabniki na Południu, w Zaleszczykach n. p., ale i okolice północne, n. p. Grodzieńskie, dają rezultaty doskonałe.

Nawiasem mówiąc, za kilogram oprzędów, wyhodowanych prawidłowo, płaci Stacja w Milanówku 17 do 18 złotych.

A teraz—kwestja przerabiania oprzędów i zbytu jedwabiu...

Nie mamy dotąd w kraju ani jednej fabryki jedwabniczej; nie posiadamy maszyn odpowiednich do produkcji fabrycznej. Dopóki rzeczą tą nie zainteresuje się wielki kapitał, a nie zainteresuje się dopóty, dopóki produkcja nasza nie dojdzie do tego stopnia, że maszyny będą miały co przerabiać, zmuszeni jesteśmy, jakby się zdawało, do zbywania obcym całej naszej produkcji, oczywiście, z wielką szkodą dla kraju. Już też zainteresowała się produkcją naszą fabryka w Pradze Czeskiej (Czechy od dwóch lat pracują bardzo intensywnie nad rozwojem jedwabnictwa u siebie), zgłaszając do Stacji doświadczalnej w Milanówku gotowość nabycia całej polskiej produkcji jedwabiu.

Nonsensem jednakże byłoby pozbywać się wyprodukowanego surowca, by potem sprowadzać z zagranicy kosztowne materiały jedwabne. Zaradzić temu złemu można przez tkanie jedwabiu na warsztatach ręcznych. Wychodzą z tego prześliczne samodziały jedwabne, miękkie, lśniące i trwałe „nie do zdarcia”—mówi p. Witaczkówna, która nosi z nich suknie. Można obejrzeć je w Milanówku. Niestety, nie są jeszcze do sprzedania.

Ale przed utkaniem, trzeba rozmotać oprzędy. Jest to czynność dosyć prosta. Do wykonania jej służy warsztat, skonstruowany przez p. Witaczka wyłącznie z drzewa. Wykona go z łatwością każdy stolarz czy stelmach wiejski. Jedna robotnica obsługuje ten przyrząd, poruszając go za pomocą pedału, jak kołowrotek. Rozmotany jedwab brać można odrazu na warsztat tkacki.

Mając wszystkie te dane, jeżeli zechcemy wyruszyć myślą w krainę przewidywań, jakież szerokie otworzą się przed nami horyzonty?

Przemysł jedwabniczy, zatrudniający w innych krajach setki tysięcy rąk, przedewszystkiem kobiecych, iluż robotnicom u nas dostarczyć może pożądanego zarobku. Rozwój jedwabnictwa rozwiązałby w znacznym stopniu kwestję bezrobocia, emigracji i innych dręczących nas zagadnień. A produkcja oprzędów, rozpowszechniona po wsiach, wśród małorolnych, zabierająca tak mało czasu (4 do 5 tygodni w roku) i dająca doraźne zyski w okresie przedźniwnym, uczyniłaby mniej groźnem widmo przednówka!

Przy poważnej produkcji materiałów jedwabnych bilans handlowy Państwa nie tylko zostałby odciążony kolosalną sumą, wydawaną corocznie za granicę za jedwabie, ale po jego stronie pozytywnej figurowałoby pozycja za eksport krajowych wyrobów jedwabnych.

To też zainteresowanie tą sprawą wzrasta stopniowo. Na wystawie w Liskowie otrzymała Stacja doświadczalna z Milanówka medal złoty od Komitetu Wystawy i medal srebrny od Ministerjum rolnictwa. Ale radośnieszem dla jej kierowników było zainteresowanie, jakie wzbudziły jej eksponaty wśród kobiet wiejskich. Jedna z nich przychodziła codziennie i niestrudzona była w zdobywaniu informacji. Centralne Tow. Rolnicze urządziło w r. ub. i bieżącym kursy jedwabnictwa w Warszawie. Do Stacji napływa mnóstwo korespondencji z zapytaniami z różnych stron kraju. Jednakże wszystko to jest niedostateczne.

Sprawą winny zainteresować się czynniki państwowe, a przedewszystkiem stronnictwa ludowe w Sejmie, by odpowiedniami ustawami zachęcić społeczeństwo do hodowli morw i jedwabników. (We Francji za każdy kilogram wyprodukowanych oprzędów płaci Państwo 65 centymów tytułem premii). U nas Rząd powinien przedewszystkiem wziąć na swój koszt Stację Doświadczalną w Milanówku i odpowiednio ją rozwinąć. Setki kursów w całym kraju winny wciągnąć nauczycielstwo szkół powszechnych i szkoły same w orbitę wielkiego przedsięwzięcia.

Dziś hodowlą jedwabników zajmuje się Szkoła rolnicza w Krzemieńcu i Seminarjum nauczycielskie w Łowiczu. A powinny praktykować ją wszystkie szkoły, wszystkie seminarja, oczywiście tam, gdzie rosną morwy. Gdzie ich niema, powinno się tworzyć ich plantacje. (Stacja w Milanówku dostarcza prawidłowo wyhodowanych sadzonek).

I przedewszystkiem powinny kwestją tą zainteresować się kobiety i stowarzyszenia kobiece. I propaganda, i natychmiastowe urzeczywistnienie znakomitej myśli jest wielu z nich całkowicie dostępna.

Wiążą się z tą sprawą inne względy wielkiej wagi. Jak wykazują higjeniści, jedwane materiały są dla organizmu ludzkiego najodpowiedniejsze. Jedwabne tkaniny, jedyne ze wszystkich, przepuszczają ultrafioletowe promienie słońca, tak niezbędne dla utrzymania w organizmie zdrowia i sił. Ale tylko jedwab krajowy, a zwłaszcza tkaniny u siebie na warsztatach ręcznych, daje odpowiednie gwarancje. Inne tkaniny jedwabne, zwłaszcza fabrykowane w Niemczech na eksport, „obciążone” są zazwyczaj szkodliwymi chemikaljami, wśród których chlorek ołowiu jest wprost trucizną, a najczęściej bywa używany.

O ile więc pożądanem jest, by tkanina jedwabna zdemokratyzowała się jaknajszerszej, o tyle tylko tka-

ninie krajowej, a zwłaszcza samodziślowi, w pełni zaufać można.

I oto otwiera się nowe pole wdzięcznej i pożytecznej pracy.

Na wiosnę hodować jedwabniki, w jesienne i zimowe wieczory rozmotywać można oprędy i wyrabiać piękne, trwałe, higieniczne w noszeniu tkaniny.

Nie wątpiąc, że czytelniczki „Bluszczu” zainteresują się żywo poruszonym tematem, podaję adres Stacji Doświadczalnej: Milanówek ul. Piasta

willa Wilsonówka. Tam obejrzyć można modele ram, na których hoduje się gąsienice, i modele warsztatów do rozmotywania jedwabiu. Tam otrzyma się wszelkie objaśnienia, wskazówki, broszury; tam wreszcie zawrzeć można transakcje handlowe i nabyć sadzonki morwy i jajeczka jedwabników i t. d. i t. d.

Nie lekceważmy idei jedwabnictwa krajowego.

W ogólnym renesansie polskim stać się ona może czynnikiem pierwszorzędного znaczenia.

FEMINIZM A GALANTERJA I UPRZEJMOŚĆ

Przed wojną jeszcze toczyła się ciekawa polemika między Gustawem Téry, współpracownikiem dziennika paryskiego „Le Journal”, a jedną z przywódczyń ruchu kobiecego we Francji, p. Jeane Misme.

Gustaw Téry ubolewał w piśmie swoim nad upadkiem słynnej niegdyś w obliczu świata całego uprzejmości francuskiej, która stanowiła, według niego, wybitną oznakę duchowej przewagi tego narodu nad wszystkimi innymi.

Już Rénan — ten, jak wiadomo, orędownik panowania intelektu nad ciemnym tłumem, ten marzyciel o wszechwładzy mędrców nad światem, a przede wszystkim nad własnym państwem, już on, biadając nad zanikiem przysłowiowej grzeczności francuza, przypisywał to wpływowi demokracji, która objęła ster nie tylko społeczno — administracyjnych, lecz i moralno — umysłowych rządów Rzeczypospolitej.

Te same sądy wygłaszała i Lafage.

Gustaw Téry nie przeczy doniosłości zapatrywań obu tych wybitnych ludzi. Zgadza się, że rewolucja i przeszacowanie dawnych wartości obniżyło znacznie poziom kultury obywateli, głównie wszakże i prawie jedynie obwinia o to feminizm francuski.

„Ten kwiat subtelności okrzesał, który nazwano „galanterją”, pisze p. Téry, mógł rozwinąć się tylko w duszach, przeświadczonych zarówno o słabości, jak i o wyższości kobiety.

„Jeżeli we wszystkich bez wyjątku dziedzinach ma ona zrównać się z mężczyzną, to ten, nie ulega wątpliwości, traktować ją będzie na każdym kroku z zimną bezwzględnością, pomijając dawne reguły t. zw. kurtuazji.”

Uwaga powyższa oburzyła do najwyższego stopnia feministki francuskie.

Pani Jeane Misme podjęła rękawicę, odpierając atak od podstaw, to znaczy — wypowiedziawszy walkę dwustronną. Przedewszystkiem zasadniczej treści wyrazu „galanterja”, a następnie — pojęciu tej uprzejmości, tego grzecznego okrzesań, jakim francuzi chlubil się dotychczas.

„Gdzie szukać ich istoty?” woła zadzierzyscie senjorka feministek francuskich, „jeżeli określenia: równość obu płci i względy uprzejmego współobcowania znoszą się wzajemnie?”

„Wpływ demokracji na obniżenie zasad obowiązującej grzeczności?”

„Czyż starożytny duch arystokratyzmu, który mierzył uprzejmość stopniami rang i przywilejów, schodząc od upodlenia najbardziej kompromisowej uniżoności aż do szalejącego w rozpętaniu samowoli bez granic grubiaństwa, nie pokutuje we Francji dotychczas jeszcze?”

„Czy dalecy jesteśmy od czasów, kiedy słano się do stóp jednym, powtarzając bez końca: „najpokorniejszy sługa”, a wymyślano innym od gburów, durniów, błaznów?”

„Francuz dziś jeszcze lubi przytaczać, jako wzór sprytu i finezji, regulamin przyjęć na dworze jednego z ministrów, który przez kolejne podawanie ryb przy stole zaznaczał stopień i dostojęstwo gości swoich w łańcuchu hierarchii państwowej. Pełen uprzejmości dla pierwszego, minister okazywał się impertynentem względem wszystkich pozostałych, którym tak dotkliwie wobec całego świata dyplomatycznego wykazywał ich niższość i upośledzenie.”

„Od tego rodzaju faktów i wydarzeń roi się historia. Czyż demokracja nie mogła powziąć wstępu do całej tej ohydnej maszyny bolesnego lekceważenia godności ludzkiej?”

„Na wątku służalstwa i wyrafinowanej zuchwałości oparta jest cała dawna galanterja francuska”, twierdzi p. Jeane Misme.

„A teraz” — pisze dalej — rozważmy czysto zewnętrzne jej pobudki, ten pozór, na którym kształtują się powierzchowne objawy kultu płci słabszej.

„Pozbawiona praw rzeczywistych, zależna od mężczyzny, kobieta zdobywa nad nim przewagę idealną, która rzuca go do jej stóp i robi niewolnikiem dlatego tylko, że domniemana władczyni uznaje w nim bezwzględność pana swojego. Z chwilą kiedy zachce się jej praw równych, sama na siebie wydaje wyrok detronizacji.

„Traci przywilej — zdobywa prawa.

„Za miskę soczewicy! Kogo otaczają opieką ci najzarliwsi obrońcy kultu galanterji? Kogo uwielbiają? Kobięćcość samą bez względu na formę, w jakiej się objawia. A więc, z kobiet, zdawałoby się, te najszlachetniejsze, najbiedniejsze, najstarsze, które najwięcej zasługują na szacunek i współczucie?”

„Rozejrzyjmy się bacznie.

„Lew salonu, który śpieszy do przedpokoju, żeby okryć płaszczem piękne ramiona królowej rautu i zbożnie ucałować podaną sobie rączkę o długich, subtelnych paluszkach — ten sam lew — zwycięzca, wielki ochmistrz „galanterji”, czy ulży ciężaru kucharce swojej, która upada pod koszem sprawunków z miasta? Czy odbierze z rąk wyrobnicy szcztokę i sam sobie oczyści buty? „Galanterja”

wyrazi się co najwyżej w pocałunku, uścisku lub innej kradzionej pieszczocie, jeżeli dziewczyna jest ładna albo ma w sobie — „pieprzyk“.

„Młodzieniec, który zerwie się w tramwaju, żeby zaofiarywać miejsce swoje młodej i pięknej pasażerce, odmówi go staruszcze, obarczanej pakunkami, która sama prosi o to. Jednej Kwiciarce rzuca pięciofrankówki, drugiej — odmawia pięciu susów.

„Miewała w czasach rycerskich galanterja cechy bohaterstwa. Dla przypiętej u ramienia kokardy szedł rycerz w bój śmiertelny.

„Teraz...

„Gdyby chciał określić istotną treść wyrazu, należałoby powiedzieć, że oznacza zaofiarywanie zbędnych i bezwartościowych usług tym, którzy ich nie potrzebują.

„Więc — chyba niewiele stracą na dobrowolnem pozbawieniu się ich kobiety?

„Wzamian za kłamstwa i paradoksy starej galanterji francuskiej z drabiną jej hierarchicznej obłudy, konwencjonalizmu i uprzywilejowania zwrócmy się do pielęgnowania w sobie tych cech uprzejmości, która, jak bujny kwiat, wyrasta na podłożu sadów sprawiedliwych i dobroci, a która w stosunkach codziennych obupści staje się niezbędną, polega na ciągłej wymianie wzajemnych życliwych usług“.

Tak mówi Jane Misme. A w mądrym zrozumieniu warunków życiowych dodaje przytem jeszcze, że taki piękny kwiat w całej swojej krasie rozwinąć się może tylko wśród narodów wolnych, gdzie na niewzruszonych obyczajowo — społeczno-państwowych prawach opiera się równość obywateli różnych stanów bez względu na płeć i pochodzenie.

Czy feminizm zadowolony się wymogami takiej równości? Czy wyrzeknie się tych koniecznych względów, jakie, według odwiecznego zwyczaju, winien mężczyzna kobiecie tylko dlatego, że jest kobietą i że natura, rzucając na barki jej ciężar macierzyństwa, zniewala poniekąd mężczyznę do czujnej opieki nad tem nowym życiem, które razem stworzyli, a które cierpieniem swoim okupił nie ojciec, lecz matka?

Kończąc twierdzenia swoje, p. Jane Misme dochodzi do wniosku, że jednak w t. zw. „galanterji“, o ile genezę jej wyprowadzimy ze zrozumienia przez mężczyznę stanowiska swojego jako, obrońcy gatunku, tkwi pierwiastek nieśmiertelny, który w istocie swojej i najpierwotniejszym założeniu jest długiem wieczystym mężczyzny względem kobiety.

Więc tylko co do form, nazwy, objawów swoich zmienić się może, ale w treści swojej trwać musi, dopóki macierzyństwo, to nie zmienne prawo natury, opromienia czoło kobiety.

* * *

Taka dyskusja toczyła się na łamach pism francuskich w ostatnich tygodniach 1914 r.

Katakлизmy wielkiej wojny ostatniej wzburzyły od podstaw dawne wymogi, stosunki, upodobania, tradycje.

Nie wiem, w jakim stopniu Francuz jest uprzejmy dzisiaj? — Prawdopodobnie, gorzką pigułkę odmówienia pomocy w jakiejś sprawie umie osłodzić, jak dawniej, najwdzięczniejszym uśmiechem, najśłodszym tonem głosu, tak że interesant lub interesantka nie spostrzegają na razie, czy rzecz stracona jest na zawsze, czy też chwilowo tylko? — Powierzchnowa grzeczność przeszła w nałóg jego i jest poniekąd odruchem.

Podkreślam „powierzchnowa“, bo jednak, jeżeli chodzi o tą głęboką, opartą nie na zdawkowych komplementach i efektywnych odruchach, ale o tą, wypływającą z ukochania bliźniego i szlachetności ducha to, niewątpliwie stępiła ją wojna, jak stępiła grzeczność i uprzejmość u nas.

Polak na punkcie ich słyszał zawsze, zresztą tylko w stosunku do kobiet. Pozatem — daleko mu jeszcze było do tej ogłady zewnętrznych form towarzyskich, którą starołacińskim rasom zapewniła tradycja nawet wśród mas szerokich.

Dziwi cudzoziemca szacunek, z jakim starsi czy młodzi mężczyźni nasi całują w rękę starsze czy młodsze kobiety. Nieznany jest zagranicą nigdzie ten rodzaj hołdu, składanego u nas odwiecznym strażnikom ducha narodowego.

Bo — po przez wszystkie czasy cenił i czcił Polak kobietę, która pierwsza obroniła język ojczysty od zagłady (tłumaczenie psalterzy dla księżniczek i królowych polskich), pierwsza walczyła o czystość jego i usuwała cudzoziemskie naleciałości (Hoffmanowa, Entuzjastki) i zawsze, w każdej potrzebie, gdy chodziło o sprawy ogólne, stawała przy boku mężczyzny z pomocą i radą lub samodzielnie służyła czynem ofiarnym, rządna, pracowita, wytrwała, pełna intuicji i dobrej woli, gorąca patrijotka, dzielna obywatelka kraju.

To też w obronie praw jej szli z nią zawsze mężczyźni, od Łukasza Górnickiego począwszy, po przez tegie orędownictwo Dembow-

skich, Skimborowiczów, Prądyńskich, Chmielowskich, Świętochowskich, Bohuszów, aż ku tym ostatnim, którzy w wolnej Polsce dali towarzyskom życia swego pełny głos w Sejmie, Senacie, Radach miejskich i gminnych.

Polemika feljetonisty francuskiego z p. Jane Misme, przeniesiona na nasz grunt, upadłaby zatem z kretesem. Nikt nie ośmieliłby się powiedzieć, że feminizm wpłynął ujemnie na takie lub inne zachowanie się mężczyzny, bo ten mężczyzna wylał zawsze z pośród najdostojniejszych swoich przedstawicieli grupy żarliwych, mądrych i oddanych sprawie kobiecej popleczników.

Uprzejmość — w znaczeniu chętnego oddawania usług bliźniemu, grzecznego porozumiewania się z nim i gładkiego, życzliwego obęścia nie jest, jak zaznaczyłam powyżej, cechą narodową Polaków. Nawet ogół przeciętnej inteligencji naszej nie zachowuje — po za salonom — tych form niezbędnych, które tak ułatwiają stosunki międzyludzkie.

Jeżeli brak uprzejmości dawał się we znaki przed wojną, to cóż mówić o tem teraz?...

Urzędnik państwowy czy prywatny odpowiada interesantowi, nie podnosząc głowy od teki z dokumentami lub też... gazety, która leży przed nim, albo przetrzymuje go kwadransami przy okienkach, rozprawiając z właścicielami sąsiednich biur o pogodzie, wycieczkach letnich, urlopach i tem podobnych, nie cierpiących zwłoki, sprawach.

W ciasnych przejściach ulic, w tramwajach, wagonach kolejowych, salach widowiskowych tylko czyha tłum niesforny, żeby wywołać jakąś awanturę. Trącamy się, popychamy, obrzucamy siebie gradem urągliwości.

Nie ustąpi miejsca siedzącego młodego, zdrowego człowieka staruszcze o kijku. Uda się, że jej nie widzi, albo z całym cynizmem, patrząc na nią, rozmawia z towarzyszką podróży, dostatecznie wydekoltowaną i ukarminowaną, w sukience po kolana studentką, biuralistką, aktorką, sklepową albo ekspedjentką.

Z drugiego końca sunie tylko harcerz lub harcerka. Oni jedni, w myśl hasła: „codzień dobry uczynek“, pielęgnują znicz dobrotliwej grzeczności względem starych, kalek i chorych.

Co byłoby z nami, gdyby oburkliwość i chamstwo form naszych

wzmagalo się? — Zeszlibyśmy do najniekulturalniejszych narodów.

Czy do tego dążymy?

Ciężary wojny — brak wszystkiego, co najkonieczniejsze do życia, niezaspokojone najpilniejsze potrzeby rozpętały w nas bezgraniczny egoizm. „Łapać, co się da i kiedy się da” — to od lat dziesięciu stało się hasłem chwili. Wydzieraliśmy sobie przemocą kartki na chleb, sól, mąkę, wydzieramy jeszcze dotychczas mieszkania. Zawierucha wojenna zmąciła dawny najpowszedniejszy altruizm nawet tych ludzi, którym pewną przyjemność sprawiała jakaś drobna przysługa, wyświadczona bliźniemu bez nakładu wielkich ofiar.

Powoli, krok za krokiem, wraca życie nasze społeczne do norm „pokoju”. Więc trzeba pomyśleć nie tylko o nawrocie ku tym zatraconym regułom towarzyskiego współżycia, nad którymi przeszliśmy do porządku dziennego, ale o wzmożeniu tempa ich zastosowania.

Oprzeć stosunki międzyludzkie na zasadach wzajemnego poszanowania praw i godności swojej, na życzliwym współczuciu jednych dla drugich, na zrozumieniu pojęcia „jak ty komu, tak on tobie...” — to niezbędne drogowskazy.

Trzeba zacząć od norm zewnętrznych. Ludzie muszą nauczyć się przechodzić koło siebie bez popychania się wzajemnego i wszczynania z tego powodu brutalnych awantur. Muszą nauczyć się grzecz-



ności w biurach, sklepach i miejscach publicznych.

Pierwszym rozsądnikiem obowiązujących zasad towarzyskich powinny być szkoły, domy rodzinne, a równocześnie z nimi — biura, sklepy, urzędy, gdzie, dopóki życzliwe załatwianie interesantów nie przejdzie w krew, w żyły pracowników, grzeczność i uprzejmość musi być narzucana z góry przez władze naczelne i pracodawców.

Stowarzyszenia i związki robotnicze, zawodowe, oświatowe, kulturalne powinny urządzać odczyty, wywieszać na ścianach pomieszczeń swoich odnośne hasła i wskaźniki.

Rodzice dzieciom, starsze rodzeństwo młodszemu powinno przypominać ciągle, bez wytchnienia, że nie wejdzie polak do rzędu najniekulturalniejszych narodów, jeżeli człowiek uprzejmy będzie należał w kraju naszym do wyjątków, o których dosyć napowiadać się i którymi dosyć zachwycać się nie możemy.

C. Walewska

KONGRES MIĘDZYNARODOWEJ RADY W WASZYNGTONIE

(Dokończenie)

W głosowaniu wniosków przechodzi w następującej redakcji: uznając zasadę rozbrojenia narodów, jako najwyższy ideał zapewnienia pokoju, R. M. wyraża przekonanie, że stopniowe ograniczenie zbrojeń pod skuteczną kontrolą Ligi Narodów w porozumieniu z Rządami zainteresowanych państw powinno być przygotowaniem do rozbrojenia; R. M. uznaje, iż narody nie zgodzą się na rozbrojenie, nie mając gwarancji bezpieczeństwa; R. M. wierzy, że jedyną drogą zabezpieczenia pokojowych stosunków między narodami winna być polityka, uznająca siąsiednie narody, jako przyjaciół, a nie jako wrogów; R. M. zwraca uwagę swoich członków na ducha protokołu Genewskiego, powstałego na V posiedzeniu Ligi Narodów, i zaleca staranne przestudjowanie protokołu przed posiedzeniem VI Ligi Narodów, na którym dyskusja na ten temat ma być wznowiona.

Przyjęto również następujące wnioski przy powstrzymaniu się od głosowania poszczególnych Rad: 1) R. M. wyraża zadowolenie z po-

wodu popierania usiłowań Ligi Nar. przez niektóre Rady, poleca użycia wszelkich wpływów w celu zrealizowania najwyższych ideałów Ligi Nar. i przyjęcia jaknajszybszego wszystkich narodów do jej grona, przyczem zaznaczyć należy, że poprawka sen. Szebeka, domagająca się dodania słów: „na warunkach, jakie obowiązują pozostałe narody”, została odrzucona.

W celu utrzymania ścisłego kontaktu we wszystkich dziedzinach pracy z Ligą Narodów, walne zebranie wyraża życzenie, ażeby przedstawicielki R. M. mianowane były do międzynarodowej Komisji Współpracy intelektualnej w Paryżu i w Rzymie i do wszystkich nowotworzonych instytucji, gdzie współpraca kobiet byłaby wskazana. 2) R. M. poleca gorąco wielkim mocarstwom i członkom Rady Ligi Narodów przyjęcie klauzuli w statucie. Międzynarodowego Trybunału, zaświadczać, że są przygotowane do przyjęcia wyroków tegoż Trybunału we wszystkich sporach, które będą podane do rozstrzygnięcia powyższej instancji.

3) R. M. wita z zadowoleniem programy rekonstrukcji gospodarczej, wykonane przez Ligę Narodów, i poleca dalszą pracę w tym kierunku w państwach, potrzebujących pomocy. Wierzy w to, że usiłowania takie będą miały zbawienny wpływ na stosunki i politykę europejskich narodów. Ma nadzieję, że środki, dążące do równowagi gospodarczej państw, nie tylko będą głównym warunkiem pokoju i dobrobytu, lecz przyczynią się do tego, że wszystkie warstwy społeczne najmniej cierpieć będą przy dokonywującym się procesie odbudowy gospodarczej państw.

4) R. M. wyraża nadzieję, że w państwach, posiadających mniejszości narodowe, kobiety tych krajów dołożą wszelkich starań i wpływów w celu utrzymania dobrych stosunków między swoimi rządami i mniejszościami, zamieszkującymi ich ziemie. 5) Uznając doniosłość rezolucji IV zgromadzenia Ligi Narodów, wzywającej Rządy państw, wchodzących w skład Ligi Narodów, do przedsięwzięcia środków w celu zapoznania dzieci i mło-

dzieży z istnieniem, celami i ustawą Ligi Narodów, R. M. poleca Radom Nar. wywieranie wpływu na władze swego kraju w celu zrealizowania tego postanowienia. W państwach, w których powyższy temat nie wchodzi w skład obowiązkowych wykładów w szkole, należy się uciec do interwencji parlamentarnej. W krajach, które przyjęły powyższe postanowienia, R. N. winny popierać wykonanie takowych. W obu wypadkach R. N. proszone są o nadsyłanie sprawozdań i, jako najbliższy program pracy na rok bieżący uważać to zagadnienie.

6) R. M. wzywa Rządy wszystkich państw świata, ażeby poświęciły największą uwagę działaniu Międzynarodowego Biura Pracy i zajęły się badaniem tych spraw w roku bieżącym.

Z powyższych rezolucji wywnioskować można stanowisko poszczególnych Rad, nie solidaryzujących się z ich treścią i duchem, czemu dały wyraz w licznych zastrzeżeniach i oświadczeniach.

Największy opór stawiały Rady Amerykańskie w związku z kampanią, prowadzoną przez prasę. Większością głosów jednak wszystkie wnioski zostały uchwalone.

Komisja wychowawcza

1) poleca wymianę studentów i nauczycieli w celu lepszego poznania się narodów.

2) wyraża życzenie ułatwienia i uprzywilejowania wyjątkowo zdolnym a biednym dzieciom kształcenia się w wyższych uczelniach,

3) poleca wprowadzenie nauk przyrodniczych do szkół powszechnych oraz zorganizowanie kursów teoretycznych i praktycznych fizyki, chemii, biologii i przepisów higieny w szkołach średnich,

4) wychowanie młodzieży w kierunku moralnym i społecznym dla zapewnienia pokoju przez teoretyczne wykłady (socjologia i etyka), praktycznie stosowane przez skauting, organizacje młodzieży, Czerw. Krzyż Młodzieży i t. p.

5) R. M. poleca R. N. rozpocząć starań w celu zbadania wszystkich gałęzi gospodarstwa domowego z punktu widzenia naukowego i stworzenie odnośnego działu badań przy jednym z wydziałów wyższych uczelni.

Komisja moralności i zwalczania handlu kobietami

1) poleca Radom Nar. stworzenie bardziej sprężystej organizacji w porozumieniu z Komitetami zwalczania handlu kobietami i Tow. opieki nad emigrantami,

2) wzywa wszystkie Rady do jak najenergiczniejszego działania w

celu zniesienia reglamentacji prostytucji w krajach, które dotąd tego nie uczyniły. Reglamentacja, tworząc specjalną klasę kobiet, jest niesprawiedliwością społeczną i obelgą dla świata kobiecego,

3) wzywa do państw, które dotąd nie przystąpiły do konwencji międzyn. z r. 1921, aby ratyfikowały te konwencje, aby nadsyłały sprawozdania do Komisji Doradczej przy Lidze Narodów,

4) domaga się stworzenia we wszystkich państwach policji kobiecej, posiadającej równe prawa i odpowiedzialność, co policja męska,

5) żąda przedsięwzięcia wszelkich możliwych środków dla zabronienia ogłoszeń w pismach, będących wezwaniem do demoralizacji,

6) proponuje, ażeby sprawa wieku zgody, proponowana w obecnym programie, odesłana została do Komisji prawniczej w celu głębszego jej przestudjowania.

Komisja Emigracyjna

1) głównie zajmowała się kwestją ograniczeń emigracji, dotyczącą przeważnie najbliższych członków rodzin, przebywających w Stanach Zjedn., nie posiadających obywatelstwa. Skargi te podnosiły przedstawicielki prawie wszystkich Rad, posiadających emigrację, do których w pierwszym rzędzie, niestety, Polska należy. Wobec oświadczenia Rady Amer., że rozpoczęto starania u Rządu w dniu zniesienia ograniczeń dla członków rodzin, pozwalając im przybywać do swoich najbliższych w Stanach Zjedn., poza określoną kwotą uchwalono podziękowanie dla Rady Amer. i wyrażono nadzieję, że starania te będą uwieńczone dobrym skutkiem,

2) w razie stworzenia przy Lidze Narodów specjalnej Komisji do spraw emigracyjnych, postanowiono domagać się miejsca dla przedstawicielki organizacji kobiecych,

3) wzywa Rady do stworzenia biur informacyjnych dla kobiet, pracujących zawodowo, w celu ułatwienia otrzymania pracy poza granicami kraju,

4) w celu opieki nad emigrantkami wzywa R. N. o wywarcie wpływu na swoje Rządy, ażeby przy poselstwach i konsulatach mianowane były kobiety do tych spraw,

5) poleca Radom Nar. w krajach, gdzie odczuwa się brak służby domowej i gdzie dopływ sił zawodowych byłby pożądanym, aby zebrały informacje o posadach w rodzinach dla młodych, wykształconych pań oraz dla zawodowych pracowniczek. W kraju, gdzie niema zatrudnienia dla kobiet inteligent-

nych z powodu nadmiaru sił, R. N. winny zawiadamiać inne Rady N. o odpowiednich kandydatkach. Z obu stron R. N. winny zapewnić kandydatkom przejazd pod odpowiednią opieką.

Komisja opieki nad dzieckiem

1) proponuje przyjęcie deklaracji Genewskiej, proponowanej przez Międzyn. Związek Ratowania dzieci;

2) poleca R. N. ścisłą współpracę z Komitetami Nar. Opieki nad Dzieckiem dla opracowania statutu dziecięcego, odpowiedniego do potrzeb i warunków danego kraju,

3) ażeby te ustawy, przyjęte przez obie organizacje, były ogłoszone, jako wynik pracy obydwóch organizacji;

4) w celu uzgodnienia współpracy pożądanym jest, ażeby przedstawiciele Ratowniczego Komitetu dla dzieci zapraszani byli na posiedzenia Komitetu Opieki nad Dzieckiem przy Radzie Międzynarodowej;

5) R. M. upoważnia Komitet Opieki nad Dz., aby w porozumieniu z R. N. przestudjować poważnie sprawę praw dzieci cudzoziemców w różnych krajach i przedstawić sprawozdanie z dokonanej pracy na następne pięciolecie.

Komisja Zdrowia Publicznego

1) wzywa wszystkie R. N. do zajęcia się zorganizowaniem opieki nad dziećmi anormalnymi i złożenia sprawozdania poczyniń w tym kierunku w różnych krajach,

2) poleca przeprowadzenie ankiety śmiertelności dzieci niesłubnych w zestawieniu ze śmiertelnością dzieci legalnych poniżej roku życia z prośbą o podanie środków zaradczych, proponowanych przez poszczególne Rady.

W Związku z Komisją Zdrowia uchwalono następujący wniosek:

3) R. M. uważa, że jedyną skuteczną drogą do zwalczania nałogu kokainy i opiumu jest ograniczenie produkcji roślin w krajach, które je hodują li tylko do potrzeb naukowych i medycznych. W przekonaniu, że tylko ta droga prowadzi do celu, poleca Rada M. wszystkim R. N., ażeby użyły swoich wpływów w celu nakłonienia Rządów, które przystąpiły do konwencji w sprawie opiumu z r. 1912 i 1925, do wykonania tych konwencji; R. M. popiera wniosek II Konferencji w sprawie opiumu, zorganizowania specjalnej komisji w celu zbadania trudności, związanych z ograniczeniem produkcji opiumu i prosi R. N. o śledzenie wyników tych badań.

Komisja Pracy zawodow.

1) protestuje przeciwko nierównomiernemu traktowaniu kobiet w zawodach i domaga się dla nich równych praw w różnych urzędach,

2) potwierdza zasadę „równej płacy za równą pracę”, która oznacza, że wynagrodzenie winno być wymierzane w stosunku do zajęcia, a nie do płci,

3) oświadcza się przeciwko ograniczeniom pracy kobiet zamężnych, zapewniając im jednak zaopatrzenie w razie okresu macierzyństwa zgodnie z istniejącymi prawami;

4) żąda, ażeby kobiety — matki, pracujące przed i po położeniu, otrzymywały zaopatrzenie w ciągu kilku tygodni.

Oprócz powyższych rezolucji, proponowanych przez Komisję, uchwalone zostały jeszcze następujące wnioski nagłe:

1) R. M. wzywa wszystkie organizacje kobiece do stworzenia wspólnymi siłami stałej Komisji Międzynarodowej kobiet w celu współdziałania przy nominacji wykwalifikowanych kobiet do Komisji i różnych działów Ligi Narodów, gdzie opinia kobiet jest pożądana;

2) R. M. wyraża ubolewanie z powodu nieobecności kobiet w Komisji, powołanej przez Ligę Narodów w celu przeprowadzenia ankiety nad zagadnieniem niewolnictwa. Wobec doniosłości tego zagadnienia w związku ze sprawą kobiecą, R. M. prosi Ligę Narodów o natychmiastowe mianowanie jednej z kobiet na członka tej Komisji.

Przyjęto również zaproszenie Wielko-Brytyjskiej R. N. na Kongres następnego pięciolecia.

Oprócz powyższych rezolucji, Komisje, w przeddzień zakończenia Kongresu, odbyły posiedzenia w celu ułożenia programu pracy najbliższej na następne pięciolecie; przyjęto różne propozycje poszczególnych Rad. Wobec niemożności uczestniczenia na wszystkich Komisjach, odbywających się jednocześnie, nieznanie nam są propozycje, przyjęte w różnych działach pracy, podaję więc tylko program prac, polecanych Radom przez Komisję Prawniczą i Komisję Moralności. Pierwsza zaleca studjowanie spraw następujących: 1) prawodawstwo, dotyczące się przestępstw seksualnych w stosunku do dzieci i małoletnich; 2) ustalenie wieku zgody wobec sprzecznych dotąd poglądów w Komisji Moralności; 3) ankieta o dzieciach nieślubnych; 4) pomoc matkom nieślubnym i kobietom opuszczonym; 5) policja kobieca. 6) istniejące prawo prostytucji i reglamentacja.

7) kary za opuszczenie rodzin. 8) prawo wydziedziczenia dzieci legalnych.

Komisja Moralności przyjęła 3 propozycje delegatki polskiej, dotyczące się: 1) zajęcie się sprawą wydawnictw pornograficznych w zrozumieniu niebezpieczeństwa, grożącego stąd młodzieży, oraz ustalenie pojęcia pornografii, któreby obowiązywało wszystkie Rady Nar. 2) przestudjowanie z punktu widzenia naukowego i pedagogicznego zagadnienia wychowania młodzieży w kierunku abolicjonistycznym i przygotowanie odnośnego programu, 3) w porozumieniu z Komisją Doradczą przy Lidze Narodów przygotowanie międzynarodowej konwencji, obejmującej jednakowe sankcje karne za przestępstwa seksualne i handel kobietami.

Z powyższych wniosków i rezolucji wywnioskować można o bogactwie i różnorodności tematów, poruszanych i wszechstronnie dyskutowanych w Komisjach. Są one wskazaniemi dla organizacji kobiecych na najbliższą przyszłość, a chociaż wszystkie nie mogą być zrealizowane w krótkim czasie, dążeniem Rad Narodowych winno być wprowadzenie w życie tych postulatów, które opinia publiczna danego kraju, a także zainteresowane organizacje społeczne uznają za najpilniejsze i najbardziej zastawane do potrzeb lokalnych i wymogów życia.

Polska w wielu wypadkach wyprzedziła już inne narody, pozostaje jednakże jeszcze dużo do zrobienia, i chociaż w Komisjach delegatki polskie, składając swoje sprawozdania z dokonanych prac w kraju, spotykały się z uznaniem i podziwem Komisji, rozumiemy, że ustawać nie należy w zdobywaniu coraz doskonalszych metod pracy.

Duże zainteresowanie wzbudził także dział propagandy polskiej, mała wystawa robót ręcznych, widoków i kart pocztowych, pasów i wstążek, książek, ozdobnie oprawnych, z dziełami laureata naszego, Reymonta, na czele. Zwłaszcza barwne hafty i wstążki różnokolorowe podobaly się bardzo i znajdą chętnych nabywców w Afryce Południowej.

Z różnych powodów sędzę, że obecność delegacji polskiej na Kongresie, jej udział w Radzie Międzynarodowej są rzeczą konieczną. Nie solidaryzując się w zupełności z niektórymi uchwałami, szczególnie z wnioskami Komisji Pokoju i Arbitrażu, czem dałyśmy wyraz przez oświadczenie sen. Szebeka oraz przez powstrzymanie się lub głosowanie przeciw wnioskom,

obecność nasza jednakże bezsprzecznie wpłynęła na pewną wstrzeźliwość w atakach na Polskę przez obecne niektóre Rady nam wrogie, jak to już nieraz miało miejsce na innych kongresach międzynarodowych. Przytem zetknięcie się z przedstawicielkami 40-tu przeszło narodów, wyjaśnianie pewnych fałszywych opinii i pojęć, informowanie o stosunkach w kraju, o pracach dokonanych, są bezsprzecznie lepszą propagandą, aniżeli artykuły i broszury, których się przeważnie nie czyta.

Ostatni bankiet pożegnalny we wspólniejszej sali nowego hotelu Mayflower zgromadził wszystkie delegatki oraz zaproszonych gości, przeważnie panie z towarzystwa Waszyngtońskiego, przyczem z przedstawicieli dyplomacji obecny był tylko ambasador chiński. Wyłom ten tłumaczył sobie jedynie tym, że Chiny są najmłodszym dzieckiem Rady Międzynarodowej, na obecnym Kongresie dopiero afiliowane. Po przemówieniach przewodniczącej Amer. R. N. p. North Moore i lady Aberdeen, dłuższe przemówienie wygłosił dyplomata chiński, wyrażając radość z powodu afiliacji Chińskiej Rady wyzwolonych kobiet i podkreślając doniosłość pracy organizacji kobiecych. Bankiet miał charakter towarzyski, jednakże w przemówieniach niektórych delegatek brzmiała nuta polityczna, wyczuwało się pewien ukłon w stronę Stanów Zjedn., nie pozbawiony tendencji utrzymania dalszych dobrych stosunków. Kilka wolnych dni pobytu w Waszyngtonie przed opuszczeniem tego pięknego miasta poświęciliśmy zwiedzaniu instytucji społecznych: Ministerstwa Zdrowia, organizacji katolickiej pracy społecznej, szkoły pracy społecznej z kursem dwuletnim, domu dla dziewcząt, zaniebanych moralnie lub pozbawionych opieki, prowadzonego przez policję kobiecą, i inne instytucje, które podziw wzbudzały swoją celowością, praktyczną organizacją. Kilka wycieczek w okolice Waszyngtonu, jak cmentarz wojskowy w Arlington, miejsce zamieszkania i wiecznego spoczynku Washingtona Manut-Vernon, śliczna małowniczka miejscowość urozmaiciły i umiliły pobyt 2 tygodniowy w Waszyngtonie. Kilka przyjęć w poselstwie naszym, w gościnnym domu pp. Wróblewskich, u attaché wojskowego naszego, pp. Hulewiczów, i radcy handlowego przy poselstwie, p. Gliwica, oraz u pań z miejscowej Polonji Amerykańskiej dały nam możność wniknięcia w stosunki dyplomatyczne i towarzyskie Waszyngtonu, o czem szerzej w następnych artykułach napiszę. M. Holder-Eggerowa.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

11

ŚWIEKRA I SÝNOWA

(Współczesne)

Dziecko już było odchowame, a takie rozkoszne ze swoimi figielkami! Matka chciała je teraz mieć wyłącznie dla siebie, bawić się niem i popisywać... Przechadzając się raz w godzinach porannych obok, aleją, obserwowała, dygocząc wewnątrz z irytacji, jak to maleństwo głaskało babkę po twarzy i nadawało jej jakieś swoje nazwiska uciészne. To przywiązanie, tak gorące i wyłączone, nabierało w jej oczach barwy przestępstwa... To jest „uzurpacja“, „niegodziwa intryga“! „ona chce sobie przywłaszczyć moje dziecko“! Nie wytrzymała jak jastrząb kurczę, wyrwała z rąk babki dziecko prawie w konwulsjach i poniosła, rzuciwszy jej jakąś imperzynę półgłosem.

Tegoż samego dnia łóżko babci zostało z pokoju dziecinnego usunięte. Przy kołysce splakanego zgorączkowanego maleństwa zasiadła angelka w czarno-białym welonie.

— Doskonale było, kiedy z początku zajmowała się kuchnią, niech sobie siedzi w kuchni. skoro to lubi, ja jej tego nie bronię, ale niech mi się do dzieci nie wtrąca (była już w poważnym stanie z drugim)! Ta kobieta, ze swoją Grotgerowską twarzą, ze swymi poglądami zacofanymi, razi na tle dzisiejszego świata, kwalifikuje się do muzeum, a nie na wychowawczynię młodego pokolenia.

— Nie lubisz Grotgerowskich twarzy?—To muszą ci się nadzwyczajnie podobać paskarze, pośród nich niema ani jednej Grotgerowskiej głowy, mogę na to przysiąc!

— Słownie by mi wychowała dzieci, na jakichś „przeczułonych“!

— Nie lubisz „przeczułości“? no, to ci się muszą podobać zbrodniarze, bo ci są „niedoczulen“! Dowodzi tego ciekawy eksperyment z cyrklem na skórze... Zresztą już stary Dante poucza: quanto la cosa e piu perfetta, piu senta ben, e cosi la doglienza...

Wstał od stołu jadalnego i poszedł do swego gabinetu. Pomimo bardzo młodego wieku był już pro-

fesorem i dyrektorem kliniki psychiatrycznej. Zmęczony pracą szpitalną, wykładami, zatopiony w zagadnieniach teoretycznych, nie mógł i nie chciał wglądać w „lilipucie wojny“ Kobiecego Świata, odgrodził się od niego ironią, ale cierpiał...

Kwiecień ciepły, gwiazdy na jeszcze dziennem niebie, zapach bzów kwitnących w powietrzu; nazajutrz miało być wielkie święto, a jego nastrój już się z wieczora udzielał miastu. Ulicami przelewały się tłumy strojne i żądne zabawy. Jak to wszystko pogłębia samotność i smutek!

Sielicka wypadła na ulicę wzburzona i niepoczytalna! Szła prosto przed siebie, gdzie oczy poniosą. Fala ludzka to odtrącała ją, to popychała, jak czasem morze igra z jakimś szczątkiem.

Raptem uczuła, że ktoś stanął i drogę jej zagroził... Oczy splakane, nieprzytomne długo, długo wpatrywały się, nim poznały: była to Paulina Bieńkiewiczówna, koleżanka z uniwersytetu, stara panna, ostra, jak brzytwa, a pocziwa bez granic.

— Co się z wami zrobiło?—rzekła, wpatrując się w nią z uczuciem, ujawszy ją za obie ręce...

Nie podtrzymywały ze sobą nigdy stosunków towarzyskich, ale widywały się od czasu do czasu to na ulicy, to na jakichś zebraniach; znały główne linie swego życia.

Ta wyszła świetnie zamąż, tamta została asystentem przy klinice chirurgicznej. Ostatni raz przed trzema laty spotkała Sielicką w Łazienkach. Szła pod rękę z synem, wyglądając na siostrę jego, mało co starszą, w jasnej lekkiej toalecie z gałazkami bzuwemi na kapełuszu, była wytworną damą, a śmiech jej był śmiechem kobiety szczęśliwej. Czy podobna, aby się tak zmienić przez trzy lata?! Stała przed nią w tej chwili zgarbiona babcia o twarzy tej najboleśniej-szej, tej, która nie czuje już, że cierpi.

— Słyszałam, że syn się ożenił; czy mieszkacie przy dzieciach?—badała.

— Nie, mieszkam sama, osobno.
— Rozumiem! puste mieszkanie — to tak, jak u mnie, ale u mnie to nic dziwnego. Byłam zawsze brzydka, jak sto djabłów, i zamąż nie wyszłam. Ale wy mieliście męża, dzieci... i na starość macie ha! ha! ha! to samo, co i ja: puste mieszkanie. My, kobiety, dochodzimy jednak do dziw- nie tych samych rezultatów, co- kolwiek byśmy robiły!

Chodźcie no, do mnie!

I, ujawszy ją pod ramię, poprowa- dziła do siebie.

Przed wygodną kanapą, na okrąg- łym stole jasna lampa i suto za- stawiona herbata. W tej atmosfie- rze dobrobytu i pocziwości otwarły się zacięte usta, popłynęły zwie- rzenia bolesne...

Panna Paulina palnęła się dło- nią w kolano:

— Ale żeście wy przocież skoń- czyli medycynę!

— To i cóż z tego! co mi się tam w głowie zostało z niej po tylu latach!

— Ja wam też nie radzę otwie- rać odrazu gabinetu doktorskiego. Ale pomocnica lekarza, ale sani- tarzuszka może z was być pierw- sza klasa. Z ukończonym uni- wersytetem będziecie dużo zara- biać, traktowani z honorami...

— Ja zarabiać nie potrzebuję! aż nadto mi tego, co mam... nie w troskach materialnych tkwi moja niedola.

— Tere-fer! pieniądze zawsze się przydadzą... Macie ich za dużo, kochaneczko, to dajcie tym, co nie mają... A przytem medycyna? — co wy sobie myślicie? Medycyna — to cały świat! to wielka sprawa ludzka, dzieło zbiorowe tylu gen- jalnych rozumów, to wielka kon- fraternia, ul młodzięży, to tyle instytucji wspaniałych i stowarzy- szeń. To nie kuchnia u sy- nowiej. Wejdziecie w ten świat, otoczą was ludzie, zespoli was z nimi wielka praca, wielkie zada- nie. Kółeczko wasze zazębi się o te wszystkie koła i pójdzie w ruch wielkiego zbiorowego ży- cia. To wam da nieocenioną rzecz: zapomnienie tych ran, które każ- dy w sobie nosi.

(c. d. n.)

MARJA DĄBROWSKA

TYDZIEŃ W LUBELSKIM

(Dokończenie)

— Jeżeliby był leżak — to tylko u mnie, rzekł, pokazując je, Oleszek.

Ponieważ nie umiem rysować, podlegam niekiedy, zwłaszcza w podróży, szalowi rysunkowemu. Mam dużo czystych szkicników i ołówków, pokupowanych w różnych miejscowościach, gdzie zdawało mi się koniecznem narysować sobie coś na pamiątkę. Kupiłam więc blok i kolorowe ołówki, oraz gumę.

Zapytałśmy o miejscową ceramikę, gdyż słyszałyśmy, że są tu też garncarze.

Nie — Oleszek ma towar warszawski, przywożony z Biłgoraja. Powiedziałyśmy, że u naszej gospodyni jest garnek „tutejszy“, którym czerpiemy wodę do mycia. Jest bardzo przyjemny.

Oleszek słyszał o tem.

— To jest ładne *poniekąd* — rzekł wyrozumiale, poczem dodał, że na to trzeba być na jarmarku. Wczoraj właśnie był jarmark, ale myśmy przyjechały za późno.

Teraz poszłyśmy zobaczyć, co jest w kooperatywie. To samo, co u Oleszka, i oprócz tego beczka marmolady.

Kupiłyśmy cukierków; zapytałam, czy kooperatywa ma jaką biblioteczkę, czy prowadzi jaką akcję oświatową. Nie — nic. Przychodzi Spółnota. O innych wydawnictwach Związku Spożywców nawet nie wiedzą.

Sklep należy nie do Centralnej Hurtowni Spółdzielczej w Warszawie, tylko do jej filii w Biłgoraju. Potem chciałam się napić wody sodowej. Można dostać tylko w jednym sklepiku żydowskim, ale było tam tak brudno, że się brzydziłam. Wróciliśmy na obiad. Był wesoły i dobry. Jadliśmy szparagi. Rozmawiało się o tutejszym handlu, o tem, że, oprócz miejscowych produktów, wszystko jest droższe, niż w Warszawie, gdyż wszystko trzeba przywozić końmi z Biłgoraja, odległego o cztery mile.

Doktora tu niema, jest tylko apteka. Poczta chodzi dwa razy na tydzień, ale ma chodzić codzień od pierwszego.

Za to od czasów okupacji jest elektryczność, która się niekiedy pali.

Po obiedzie śpiemy. Potem patrzymy przez okno. Znów trochę deszcz popadał przez ten czas, kiedyśmy spały. Teraz lśni cudna mo-

kra pogoda. Trzy dziewczynki: Mańka Królówna, Klina Białówna i Jania Sajówna bawią się pod oknami w kamyki. Następnie nabierają wody w zepsutą piłkę i rzucają piłkę do góry. Przy oknie stała ładna śniada żydóweczka w chustce. Postąpiła nieco, a potem przysunęła się do okna i zapytała cichaczem:

— Może pani włosy kupi?

— Włosy?

— Mam bardzo ładne, taki warokoz, niech pani kupi.

— E, ja sama chcę obciąć swoje, mówię. Może kupisz.

— Pani by nie sprzedawała — odpowiada z grzecznym niedowierzaniem. Na tem skończyły się pertraktacje w sprawie handlu włosami.

Nad wieczorem wyszłyśmy na daleki spacer na wzgórze, skąd widać Biłgoraj, jak jest ładna pogoda.

Cały krajobraz tutejszy jest malowniczy.

Parowy są zarośnięte dziką różą i berberyssem.

Nie rozumiem, dlaczego mimo to nie są to wesołe okolice.

Brat Wandy pokazał nam opustoszałą chatę, w której straszy. Stoi na szczycie jałowcowego wzgórza, a dróżka do niej zarosła. Czarne lasy zamykają horyzont.

ŻYCIE KULTURALNE FRAMPOLA.

Trzeciego dnia rano wsparłyśmy jeszcze raz i ożywiły ruch handlowy, oraz przemysł Frampola.



Kupiłyśmy bowiem dwie piłki, wstążki do włosów i cukierki dla tych dziewczynek, co pod oknem bawiły się w kamyki. W towarzystwie naszej uprzejmej gospodyni, pani Królowej, poszłyśmy do największego warsztatu tkackiego do potężnych patrycjusz Frampola, Miazgów. Pani Miazgowa jest wspaniałą, przystojną damą, która uprzejmie sprzedawała nam nieco Frampolskiego płótna. Jest ono solidne i ozdobione szlaczkami o delikatnych barwach. Wszystkie wyroby jednak cechuje ubóstwo pomysłów; kilimy i firanki, które tu robią, są brzydkie.

Przydałaby się tu bardzo zawodowa szkoła tkacka z działem artystycznym. Wtedy Frampol, który jest znany ze swych wyrobów płóciennych, możeby nimi zasłynął, jak niektóre flamadzkie miasteczka. Możeby się tą drogą, dodawszy orzechy i czereśnie, wzbogacił i dźwignął do dawnej godności miasta, jaką nadali mu kiedyś założyciele.

Jedak obywatele Frampola zdecydowali, że co innego jest im potrzebniejsze. Że mianowicie potrzebniejsze im jest gimnazjum. Gimnazjum, własność towarzystwa prywatnego, obdarzone czterema profesorami i trzydziestu pięciu sztukami młodzieży obojej płci, wegetuje, ma się rozumieć.

Za to w szkole powszechnej jest trzysta dzieci, pracuje ona na dwie zmiany, szkoła rozpiera się w trzech budynkach i jest pełna życia.

Pan kierownik był tak łaskawy, że pozwolił nam być na kilku lekcjach. Na jednej z nich widziałyśmy małego Świszcza, który wszystko kopie na podwórzu swojego ojca. Dowiedziałyśmy się od niego, że na Podlasiu jest puszcza Jańsborska, że są w niej pszczoły i że pszczoły te są dzikie. Bardzo byłyśmy ciekawe, czy młody Świszcz równie dużo wie o Frampolu, o włoskich orzechach, dzikiej róży, berberysie i lnieniu, które stanowią osobliwości jego okolicy. Lecz nie śmiałyśmy zapytać.

Dzieci z tej szkoły odbyły niedawno wielką podróż do Krakowa i doskonale opisały ją w ćwiczeniach. Pan kierownik szkoły powiedział, że ta wycieczka dała mu większe rezultaty, niż pół roku pracy na miejscu, w szkole.

Widziałyśmy bibliotekę szkolną, która ma dwieście tomów, i bibliotekę nauczycieli, w której jest około 500 dzieł. Oprócz tego jest we Frampolu Biblioteka Macierzy Szkolnej.

Prowadzi ją również kierownik szkoły powszechnej.

— A kto czyta? spytałyśmy.

— Młodzież z gimnazjum i ci, którzy powracają z wojska. Tak, ci przychodzą po książki nawet z dalszych wsi. Pozatem nikt. Wracając ze szkoły, widziałyśmy szepę straży ogniowej, w której mieści się również teatr, dający niekiedy amatorskie przedstawienia. Mieszka tu aktor, przybyły ze świata, Bogorja Górski, który urządza owe przedstawienia. Cześć temu panu, chociaż nie chciał nas puścić na próbę.

Nad wieczorem poszłyśmy na majowe nabożeństwo. Kościół jest nowy i brzydki, jesiony koło niego bardzo piękne. Ludzie tutejsi mają mocne, czyste głosy, śpiewają zgodnie i bez fałszu.

Po kolacji przyszły dziewczynki: Tereska, Klima, Mańka i Jania. — Brat Wandy nazywał Tereskę „reżyserką”, gdyż brała udział w urządzaniu teatru dzieciennego.



Dziewczynki porozmawiały z nami, a potem zaczęły kołysać wzniesionymi rękami i śpiewać:

Wiele drzew stoi w lesie daleko,
Wietrzyk ich listki kołysze lekko,
Wtem wiatr zaszumiał pomiędzy
[niemi,

Pochylił biedne drzewka do ziemi.
Lecz burza przeszła, cisza dokoła,
Znów sobie stoją drzewka wesoło,
[wesoło.

Ponieważ nam się to szalenie podobało, dziewczynki wpadły w zapal i na nutę „Wołga, Wołga, ma’ rodna” — zaśpiewały pieśń o dzieciach Lwowa.

Potem jeszcze pokazały nam różne swoje zabawy. Nakoniec zatapały i krzyknęły:

Stary niedźwiedź mocno śpił
Mocno śpi, mocno śpił
My go nie zbudzimy,
Bo go się boimy,
Jak się zbudzi, to nas zje.

Wieczór był bardzo przyjemny.

J U L J U S Z W I R S K I

10

IDYLLA NA ARKTYKU



Kiedy po kilku dniach powrócił, zadziwiła go zmiana, która zaszła w umiłowanej dziewczęce. Radosna i wesoła wybiegła daleko naprzeciw, jednym susem wskoczyła do sanek i zarzuciła mu podawnemu rączki na szyję, tuląc się, jak spłoszony ptak. Uciekł się serdecznie i przypisał to tęsknocie za nim, zresztą zupełnie słusznie. Odkąd zrozumiała ostatecznie, czym jest dla niego, a raczej czym jedynie być może i powinna, postanowiła szczerze i ze wszystkich sił wynagrodzić mu klęski i nieszczęścia, doznane na innych ładach, wśród innych ludzi. Zdumiała ją teraz własne zuchwalstwo, z jakim ośmielała się marzyć o nim, jako o swoim mężu. Taki wielki, mądry i pojętny gdzieżby mógł! I tak dobrze, że się nią zaopiekował i zabrał od Thomsona, gdzie, choć jej nie czyniono krzywdy, jednak wśród nieustannych podróży była ciągle narażona na brutalne zaczepki jego niepokohamowanych

przyjaciół. Za to nie mogła zrozumieć, dlaczego się tak szalenie ucieszyła, kiedy Piotr wyznał wielce dla Jamesa niefortunną wiadomość, że nigdzie, w obrębie stu mil angielskich, nie natrafił na ludzi białych, choć świeże ślady obozowiska, o którym wspominał James, odnalazł i długo koło nich krążył po całej okolicy James zmartwił się tem ogromnie, a ona, niedobra dziewczyna, cieszy się, jakby nie wiem co dobrego się stało. Doszła więc do głębokiego przeświadczenia, że jest do gruntu złą, niegodziwą dziewczyną, prosto niegodną towarzyszką szlachetnych białych twarzy. Więc, żeby choć trochę zgładzić swą winę, udała się do James’a, aby go pocieszyć. Tymczasem ten prawdziwy ladaco, niebardzo jakoś potrzebował pociechy. Przeciwnie, — kiedy weszła, wyszczerzył do niej w szeroki uśmiechu wszystkie swoje angielskie zęby i oświadczył z jakąś przekorną złośliwością, że jego wyprawę poniosło na cztery wiatry, wobec czego nolens volens musi pozostać do wiosny, dopóki nie

otworzy się droga przez morze Beringa na Pacyfik, gdzie każdy okręt, jadący do Anglii, zabierze go bez trudności, choćby na pełnem morzu.

Ton, jakim to oświadczył, oburzył Alkase niepomniernie. Przecież wyraźnie widziała, jak szczerze był zmartwiony nieodnalezieniem towarzyszy, a teraz ani śladu zmartwienia, przeciwnie — coś niby radość i to bardzo podobna do jej radości. Więc i on jest zły, skoro nie pomyślał o zmartwieniu jakie sprawi rodzicom. W zapale moralizatorskim powiedziała mu, co o nim myśli, bez ogródki, ale widocznie tego dnia miały się dziać wogóle rzeczy nadzwyczajne, bo James, zamiast się uczuć skruszonym, pochwylił jej maleńkie dłonie i także bez ogródki starczyście wycalał. To dobiło biedną Alkase ostatecznie. Uczuła się tym aktem czci, stosowanym tylko do białych kobiet, głęboko wzruszona i zawstydzona. Tego dnia nie wyszła też ze swojej świetliczki, tłómacząc się bólem głowy i potrzebą spoczynku po długim uprzednim czuwaniu przy James’ie.

Odtąd sprawy poczęły iść z zawrotną szybkością. Zarówno James, jak i Alkase, spostrzegli to każde z nich, że nie są dla siebie, jak dwie obce istoty. Rozmawiali się w sobie, niewiedomo kiedy, poprostu na śmierć i życie, na moc i niemoc, na potęgę! Jak wichra, porwała ich ta miłość bezgraniczna, szalona, na nic niepomna, zaborczo-zachłanna. W domu i w tundrze, podczas łowieckiej ochoty i zwykłych zajęć gospodarskich wybuchała nagle i niespodziewanie i sprawiała, że tonęli w sobie na długo nieprzytomni ze szczęścia oczami. W miłości anglika było, jakby echo średniowiecznych porywów bardów i rycerzy: kochał i czcił nieomal na klęczkach. Niezwykła wprost uroda dziewczęcia, niesłychany urok podbiegunowej okolicy, niezwykle okoliczności pustelniczego życia, wszystko to sprawiało, że czuł się, jak w śnie, jakby w pozaświatowym zachwyceniu. Na całym świecie, od bieguna do bieguna i od równoleżnika do równoleżnika, nie było podobnej dziewczyny i podobnie wielkiego szczęścia! Czy kiedy przebiegali w szalonym pędzie przez puste, zamrożone doszczętnie przestrzenie, czy gdy po warjaku zjeżdżali z pokrytych lodem skał, czy kiedy pędzili po tęczowej powierzchni morza na długich, lekkich saneczkach — zawsze szalała, biegła i staczała się wraz z nimi ich ogromna, nieposkromiona, dziecinna radość szczęścia. Zdawało się, że pod beżmierną kopułą niebios i na bezbrzeżnej tafli ziemi niema innych istot, prócz ich dwojga, pijanych miłością i opętanych najszczerzem weselem serc. Całymi dniami byli poza domem, polując, jeżdżąc, myszkując, upajając się siłą, młodością i zdrowiem. W egoizmie młodych serc zapomnieli prawie zupełnie o Piotrze, skazanym znowu na absolutną prawie samotność. Wracając o zachodzie słońca, a czasem na długo po nim, wpadali z hałasem, jakiego by nie narobił tabun rozpędzonych koni, zgłodniałi, rozchukani, weseli. Piotr przyjmował to zniszczenie swego dostojnego spokoju z prawdziwym stoicyzmem. Z początku, nie dowierzając młodemu anglosasowi, śledził ich całymi dniami niepostrzeżenie,

przechytrze pełzając po śniegu, podjeżdżając białym płótnem okrytymi sankami, śledząc ruch każdy przez lunetę polową. Zniżył się nawet do podsłuchiwania o czym mówią. Ale wkrótce, ku rzetelnej radości dobrego serca, przekonał się, że ta para dzieciaków szaleje naprawdę jakąś nadziemską, przeczystą, napółświadomą miłością. Wtedy pozostawił ich samym sobie. Tylko od czasu do czasu zniknął na kilka dni z domu w jakichś, sobie jedynie wiadomych, sprawach. Po każdej takiej wyprawie znikwały coraz większe zapasy bezcennych skór, zato powiększał się znakomicie zapas złotych pięciodolarówek. Do tego to zapasu wywołał kiedyś James'a w największej przed Alkase tajemnicy. Ale dumny chłopak szarpnął się, jak uderzony batem.

— Nie chce! — jest bogaty, a dziewczynę weźmie choćby w jednej sukience. Wtedy długo i cierpliwie, chytrze i przebiegle wytłomaczył mu Piotr, w czym ukrywa się tajemnica i na czym polega. Pieniądze będą Alkase, prawnie na nią zapisane, i zabezpieczone. Żeby po pierwsze wiedział, że nie bierze byle kogo, ale dziedziczkę wielkiego majątku, no i imienia. Ale pieniądze muszą być, bo jeśli dumny tatuś w uniesieniu szlachetnego patriotyzmu wyklnie synka z wyżyn swego parowskiego tytułu i wydziedziczy, tedy te właśnie, tak pogardliwie nieoszacowane pięciodolarówki, wyprowadzą ich z kłopotu. Na wszelki wypadek niech wie również, że Alkase może być w każdej chwili adoptowaną za pośrednictwem najbliższych władz gubernjalnych. A szlachectwo Piotra, jeśli już o tych śmiesznośkach mówić, nie jest bynajmniej młodsze od szlachectwa parów Anglii.

W ten sposób przekonany James przestał protestować. Pomimo młodego wieku, rozumiał i wyczuł, że szczęście jego ukochanej stało się poprostu manją tego śmiertelnie strudzonego i skrzywdzonego przez życie człowieka. Postanowił, w szlachetnym porywie serca, dotrzymać kroku w miłości dla Alkase starszemu przyjacielowi. Przytem winien

był tak uczynić, choćby dlatego, że zabierał staremu samotnikowi ostatnie i jedyne jego ukochanie, zrywał ostatnią nić przywiązania, łączącą go ze światem i życiem. W pierwszej chwili, kiedy zrozumiał ogrom wyrzeczenia się Piotra, zadgotało w nim przerażenie: — Jak to, więc już do końca dni życia sam? Później spróbował perswazji, powoływał się na uczucie do Alkase, na dawne postanowienie zamieszkania przy „zięciu“. Piotr odmawiał stale i kategorycznie. „To było kiedyś, a dziś jest inaczej“. Jak już będziecie u siebie, przyjadę kiedyś do was na krótko, a niech cię Bóg uchowa, żebyś ją miał skrzywdzić.“ Ale z oczu James'a nie wyglądała krzywda Alkase. Przeciwnie: była w nich miłość ogromna, przeczysta i odważna, bo zaiste nielada odwagi trzeba było, aby wprowadzić do domu lorda dziewczynę z nad Jukonu, jako małżonkę.

Zaś tajemnica tej nagłej zmiany w postanowieniu Piotra leżała w tem, że od czasu, jak młodzi pozostawiali go coraz częściej w samotności, jego dawna męka z całą pasją przeroskosznych przeżyć wróciła z nieodpartą mocą i wzięła go w posiadanie. W tej krainie zaczarowanych lodów i śniegów był zaklęty cały jego dziesięcioletni sen o szczęściu i o nigdy nieziszczonym cudzie miłości. Więc patrząc na miłość tych dwojga, doznawał najsprzeczniejszych uczuć. Była więc w tem nadewszystko wielka radość, że umiłowana dziewczeczka jest tak nieskończenie szczęśliwa. Ale na dnie tej radości tała się głucha obawa przed chwilą rozstania. Te dwa uczucia walczyły w nim nieustannie i stanowiły jakby podkład całej ówczesnej jego psychiki. Dopiero z płodnej gleby tych uczuć wyrastało, niby ozimina, uczucie inne, przeciwstawione najdoskonalej szczęściu tych dwojga. Było to uczucie własnego nieszczęścia. Całe dnie, pozostawiony sam sobie, sprawdzał przeżyte lata i wzruszenia, kontrolował wszelkie szanse i przeszkody, rozważał wszelkie przyczyny klęski. Pomimo najskrupulatniej przeprowadzonej analizy, nie mógł dojść istoty rzeczy ani uchwycić zatajonego jądra zawiłych spraw.

(c. d. n.)



WANDA MIŁASZEWSKA

17

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)

Wysoki, chudy, jak tyka, „Stasiuńcio” ma wielkie, czarne, wylupiałe oczy, szpiczasty nos i nieco za „wyniosłe” czoło. Bujnej swej czupryny, jak mi się zdaje, nie stracił, ślęcząc nad książkami, do których nigdy nie czuł zbyt wielkiego pociągu. Wówczas, gdy był jeszcze studentem i poznał przyszłą swą połowę, miał może wyższe aspiracje. W każdym razie szybko skombinował w swoim niewielkim mózdzku, że lepiej żyć beztrudno u boku starszej, doświadczonej i rozsądnej niewiasty, właścicielki aż dwóch nieruchomości, niż brnąć dalej w niepewne jutro, zaciemnioną jeszcze mniej pewnym rezultatem ostatnich egzaminów.

Właściwie, patrząc na tę parę, powinienem doznawać raczej przykrego uczucia, gdyby nie dziwna właściwość natury ludzkiej, która w rzeczach, politowania godnych, widzi często powód do śmiechu. Należałoby raczej współczuć z panią Bujakowską, o dobrych dziesiątek lat starszą od męża. Ta różnica wieku po sześciu czy siedmiu latach pożycia małżeńskiego poczyną się uwydatniać coraz jaskrawiej, i nie wiem, czy już w najbliższej przyszłości intensywny róż, jakim ta podstarzała eks-właścicielka pensjonatu usiłuje podtrzymać swe wędrujące wdzięki, zdoła utrwalić wierność wiecznego studenta dla jego prawowitej połowicy.

Opowiadała mi panna Leonka (a ta jest au courant wszystkich spraw, niedo niej należących), że Bujakowscy kłócą się często wieczorami, i że odgłosy tych sprzeczek aż nadto wyraźnie dobiegają do uszu sąsiedzkich. Tematem sporu są zawsze jakieś bosonogie piękności okoliczne, którym romansowy farmaceuta po zniżonej cenie sprzedaje „skrom zajęczy” lub inne „komarowe sadło”.

— Co robiłeś kwadrans po piętej aż za aleją Klimontowską? — woła pani aptekarzowa, a głos jej znakomicie przenika cienkie ściany domowego ogniska — Widziałam dobrze, Stasiuńciu, że wyszedłeś z apteki razem z tą bezwstydną Bobowikówną, która miała czelność rozpowiadać po sumie, że ją zeszłego piątku pocałowałeś w rękę na pożegnanie! Takiego wycirusa w rękę! I to ja wysłuchiwać muszę, ja, która dla ciebie wyrzekłam się życia bez troski w Nowym Targu, pensjonatu w Zakopanem i własne-

go ogródka! Odnajęłam to wszystko za psie pieniądze i gniję w takiej podłej dziurze, aby zamknąć gęby znajomym, którzy gadają, że wyszłam za wółkonia i głupca, co nawet uniwersytetu skończyć nie może, tylko się na żoniny fartuszek odładał!

Słynna wymowa pani aptekarzowej może się w takich dyskusjach rozwijać swobodnie, bowiem „Stasiuńcio” trzyma się taktyki wysłuchiwanie w milczeniu wszystkich, pod jego adresem skierowanych zarzutów. Po niejakiem dopiero czasie zdejmuję z wieszadła palto, kapelusz i poczyną sposobić się do wyjścia. Wówczas rozżalona małżonka hamuje wylew wymówek i pyta niespokojnie, znacznie zmoderowanym tonem:

— Dokąd idziesz?

— Napić się piwa u Szlomy, kochanie. Tak mi jakoś w gardle zaschło...

— Zaczekaj! Pójdę razem z tobą na to piwo — decyduje się szybko pani Bujakowska, bo cóż ma robić? — Tylko kapelusz włożę. Chyba ci będzie przyjemniej ze mną, niż tłuc się samemu po żydowskich wyszynkach...

W ostatnim zdaniu brzmi już imperatyw, „Stasiuńcio” czeka pokornie, a po krótkiej chwili sąsiedzi mogą obserwować przez okna, jak maszeruje zgodnie z żoną pod rękę wzdłuż zabłoconej uliczki.

W takiej małej miejscinie domy są, jakby ze szkła. Każdy, chcąc nie chcąc, widzi ich wnętrza. Najdrobniejsze zdarzenie roztrząsane jest i komentowane tak długo, zanim wszyscy nie znużą się tematem, a to nie może nastąpić wcześniej, nim nowy jakiś doniosły fakt nie pochłonie uwagi i nie wstrząśnie „opinją” publiczną.

Mówiliśmy właśnie o tem z panną Leonką, wracając z „tłustego wtorku” od Bujakowskich. Panna Leonka spytała, czy może mnie odprowadzić do domu, co nie zdziwiło mnie zbyt, gdyż powrót w towarzystwie głuchej, jak pień, siostry proboszcza nie należy do atrakcji, zwłaszcza, gdy wiatr dmie w oczy i zapiera oddech; panna Monika lubi zadawać pytania, wymagające odpowiedzi wyczerpujących, które trzeba formułować, przekrzykując wicher. Moje towarzystwo było tedy jedynym ratunkiem i ostoją.

Stąpając ostrożnie krok za krokiem (cóż za ohydna ślizgawica wypadła w ten ostatni dzień zapustny!) gawędziłyśmy o tem i owem, jak zwykle. Panna Leonka, chociaż przybyła tu w miesiąc po mnie, zna wszystkich i wie o wszystkich znacznie więcej, niż ja. Ona też jest moją gazetką informacyjną i powiadamia mnie zawsze, kto zachorował, dla kogo leżą na poczcie przesyłki, z kim w niedzielę chodziła na spacer córka felczera i jaką suknię szyje sobie pani aptekarzowa u miejscowej mistrzyni kroju.

— Tak tutaj trudno mieć swoje prywatne życie, — zauważyłam, wysłuchawszy steku nowinek o starych sprzeczkach, kolizjach, i awanturkach miłosnych między tą garstką znajomych, której znacznie szą część pożegnałyśmy przed chwilą u pani aptekarzowej.

— Ot, proszę pani, co tu się dziwić? W wielkiem mieście zupełnie co innego. Ruch, gwar, tyle obcych twarzy. Wyjdiesz na ulicę, pogapisz się na wystawy sklepowe, wstąpisz do cukierni czy do znajomych — rozerwiesz się... A tu co? Nawet kina niema. Więc tak sobie ludzie zajmują wolny czas, jak potrafią. Przecież myśleć o czemś trzeba, z czegoś się cieszyć albo i uśmieć, prawda? Co mię obchodzi, że pani Bujakowska sprowadza aż z Warszawy rozmaite farby do włosów albo francuskie mastyksy do smarowania twarzy? Ale, jak kiedyś umalowała sobie głowę na fioletowo, tośmy się wszyscy śmieli do łez, bo potem musiała biedaczka chodzić z taką fryzurą, a wieczorem, to pewnie nakładała czepeczek, żeby „Stasiuńcio” nie zauważył... Hi hi! Nikomu się nie zwierzyła z tej przygody, a przecież wszyscy o tem przez tydzień gadali. Ma pani słusność: tu wszyscy wszystko wiedzą.

Zamyśliła się, a potem dodała z nutą podziwu w głosie:

— Najmniej to wiedzą o pani. Pani jest jakaś inna. Tak, o pani to nawet ja nic nie wiem.

— Dlaczego? Przecież ja mieszkam w takim samym domku z przezroczystymi ścianami. I nie chowam swojego życia. A że nie sprowadzam z Warszawy barwiczek... Kto wie? Może sobie inaczej radzę? Może niejeden siwy włos wyrwę ukradkiem przy czesaniu? Ha! Każdy ma swoje wady, swoje

śmieszności, swoje „słabe struny“! Mało kto lubi się starzeć. I ja także, zapewniam panią, ja tak samo, jak wszyscy...

— Nie, — odparła, — pani właśnie jest inna, niż wszyscy. Ja panią widzę codzień w szkole. Widzę, jak pani umie przemawiać do tych smarkaczy. Pani taka wykształcona (przecież wszyscy o tem wiedzą), a mówi pani do nich poprostu, że każdy zrozumie. Dzieci panią kochają, bo pani jest bardzo dobra, wyrozumiała dla nich. I ja też panią kocham z całego serca. Wiem, że pani zawsze cierpliwie wysłucha mojej gadaniny i mam do pani dużo zaufania... Niema rzeczy, z którejbym się nie zwierzyła, nie poprosiła o radę. A z tem wszystkiem pani jest, jakby obca, wśród nas. Jakby tu pani przysłała na krótką chwilę i miała zaraz odejść, prawie że bez pożegnania. Ot tak, jak

to się człowiek wymyka z tłumu na dworcu kolejowym, gdzie pełno obcych ludzi i nikt się z nikim nie wita ani nie żegna...

— Wcale nie myślę odjeżdżać stąd, a jeśli mi przyjdzie odjechać, panno Leoniu, uczynię to z żalem i napewno będzie mi bardzo smutno rozstać się z panią.

Urwała się rozmowa, bo właśnie stanęliśmy przed domem burmistrza. Zaprosiłam moją młodą koleżankę na szklaneczkę herbaty. Przyjęła zaproszenie z radością i długo jeszcze gawędziłyśmy o sprawach szkolnych, o projektowanym zjeździe nauczycieli powiatowych, o postępach dzieci i wreszcie...



o błękitnem spojrzeniu pana Dąbka. Ten ostatni obiekt dostarczył dużo materiału nietyle do dyskusji, ile do bardzo szczegółowych roztrząsań ze strony panny Leonki.

A jednak do późnej nocy rozmawiałam to, co wyraziła tak prosto i — tak ogromnie trafnie. Bo ona ma słuszość. Pomimo wszystko, pomimo, że całą duszą staram się żyć z tymi ludźmi, odczuwać to, co oni czują, myśleć tak, jak oni myślą, i tak, jak oni żyć, pomimo to jestem i będę dla nich zawsze jakaś inna, prawie obca.

...Tak, jakbym przysłała na chwilę i wkrótce miała iść dalej, samotny, nikomu nieznany podróżny, który wszedł cicho do przepelnionej kawiarni, posiedział, ogrzał się trochę, zapłacił za swoją porcję herbaty i wymknął się, przez nikogo niespostrzeżony...

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

9

W tę samą noc Bożego Narodzenia, gdy w dworku Fitz Geraldów zasypiano spokojnie, zamknawszy szczerlnie okiennice, aby nie słyszeć jęku wichru, wiejącego od morza, flota francuska, walcząc rozpaczliwie z rozszalałym huraganem, dobijała do brzegów Irlandji.

Przybywał Hoche.

Lady Lucy w Dublinie zapisywała w swym dzienniczku:

„Christmas day: Alarm. Mówią, że Francuzi chcą wylądować w zatoce Bantry. W mieście pełno żołnierzy.“

Wysłała natychmiast gońca do brata. W Kildare byli również zaniepokojeni, widząc przemarsz wojska, a nie otrzymując poczty. „Jesteśmy jak w pułapce.“ Nous sommes „in warm water,“ pisze Pamela śmiertelnie zasmucona.

Jakaż szatańska zdrada, jakaż perfidja prowokatorów a zarazem ławowierność spiskowców sprawiła, że Komitet Wykonawczy uwierzył wiadomości, otrzymanej z „pewnego źródła“, jakoby rząd francuski odłożył wyprawę do wiosny! Z drugiej strony w Paryżu rzekomy wysłaniec Komitetu nalegał o przyspieszenie ekspedycji.

16 grudnia wypłynęła z Brestu flota francuska. Czterdzieści trzy statki, dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Okręty nosiły piękne imiona: Sprawiedliwość, Braterstwo, Prawa Człowieka.

Na lekkiej fregacie: Fraternité, znajdował się wódz naczelny, Hoche, wraz z admirałem Morard de Galles. Na admirałskim okręcie ich zastępcy: generał Grouchy, wice admirał Bouvet, a z nimi Wolfe Tone, wygnaniec, patriota, pierwszy założyciel Towarzystwa Zjednoczonych Irlandczyków.

Robiono wszystko możliwe, by zmylić poszlaki. Rozgłoszono wieść o ekspedycji do Portugalji. Wicher i mgła dopomogły flocie do wyminięcia krążowników angielskich. Następnie jednak wściekły huragan rozprószył okręty i rzucił je na skały. „Huragan ten ocalił Anglię“ — mówi historycy. Sześć dni walczyła flota z burzą. Wiceadmirał, zgromadziwszy z trudem kilkanaście statków, dobił do zatoki Bantry, na południu Irlandji. Ze zdumieniem spostrzegł, że ludność zupełnie biernie się zachowywała.

Zniechęcony i zagrożony nową burzą, odpłynął, mimo błagań Wolfe Tone'a; na drugi dzień fregata Hoche'a, po rozpaczliwej walce z falami, przypłynęła do zatoki i nie zastała nikogo. Powrotna droga również była ciężka. Do Brestu wróciło cało tylko sześć okrętów.

Tyle trudu, tyle nadziei poszło na marnie! Hoche nie mógł powstrzymać się od łez. Między jego zamysłem a Irlandją stanęły: burza i zdrada.

Wiedząc, że podejrzliwość rządu została już obudzona, rzucili się przywódcy irlandzcy, by mimo wszystko, przyspieszyć powstanie.

Lord Edward udał się na północ, do O'Connora. W Belfast było ognisko działań. Pamelę wyprawił mąż do swej rodziny, ale młoda kobieta dostrzegła wnet chłód w obejściu krewnych. Jej wpływom przypisywano „obłąkanie“ Edwarda, nie wiedząc, że ona, biedactwo, była tylko echem męża i że pełną wyrzeczeń i niebezpieczeństw dolę przyjmowała odważnie, bez cienia egoizmu, choć może nie zdając sobie sprawy z całego tragizmu położenia. Gdy w tym fatalnym styczniu 1797 r. daje przepi-

sywać rewolucyjne pieśni: Hymn Marsylczyków, Çair i Carmagnole, śmieje się, iż rodzina zdrząłaby z powodu takiej „zdrady stanul“

W swej ptaszącej bez trosce czyni, co może najlepszego: złoci swoją ogromną miłością krótkie chwile, spędzane z ukochanym. Raduje się każdym słówkiem, otrzymanem z podróży: „Oh, gdyby wiadzano, jak biedna pustelnica cieszy się, otrzymując listy, jak je czyta i odczytuje, składa i rozkłada, jak radaby o nich zapomnieć, by znów cieszyć się, otwierając je!“ Ale jest rozsądna, niewymagająca: „Osiem wierszy od Edwarda: to dużo, gdy wiem, że był śpiący i miał chęć nieprzepar-tą oddać cześć Bogu Bed Dow! Pisz, że jest zdrow, że mię kocha, czyż nie dość, abym była najszczęśliwszą z kobiet?“

Nie może wysiedzieć u krewnych.

„Mój przyjacielu, jest mi bardzo smutno i w poniedziałek wracam do naszego domku, gdyż nie mogę ci wypowiedzieć, jak niecierpliwie mię to wszystko, co słyszę w tych pięknych pałacach.

„O, niech żyją małe dworki, nam zbytek nie zagłusza ducha i nie mrozi serca! Tam rozkoszują się przyjaźnią, a nie znają co pochlebstwo, a nawet jeśli się z niem spotkają, to jest ono słabością serca, zaślepieniem (gdyż łatwo widzieć w pięknych barwach to, co się kocha), ale nigdy podłością. Mój drogi, ty jeszcze nie przejrzałeś, jak ja, ale przejrzyś jutro.

„Dobranoc, czytasz pewnie te raz mojego Plutarcha, ale nie, sądzę raczej, że zasypiasz i oddajesz żarliwą cześć Bogu Bed Dow. Ciotka Sarah jest bardzo uprzejma dla mnie, równie, jak jej mąż. Lubie ich, bo nie są tak źli, jak inni. Są prawie dobrzy.

„Myśl o swoim zdrowiu, bądź ostrożny. Dobranoc, my dearest beloved friend. Pisz o wszystkim, co ciebie dotyczy, każdy najdrobniejszy szczegół jest dla mnie cenny. Piszę w pokoju drogiej Lucji. Twoja wierna P. E. F. G.“

Lucy, „najukochańsza i najmil-sza siostra — przyjaciółka“ to jedyna istota, która czuje i lęka się tak samo, jak braterstwo żywiej nawet przejmie się ponuremi przestrogi, gdyż z niepokoju dostaje febrę żółciowej „Pocóż to wierzyć wszystkim niedorzecznościom, które opowiadają!“ gderze Pamela, troszcząc się o chorą najczulej. Posyła jej receptę, podpisana: „Doktor Pamela S.“

„Nie śmieć się, piękna Angielko, ten medykament „francion“ jest istotnie skuteczny. Pani de Genlis nieraz go używała“.

„Moja miła żółta przyjaciółko, pisze niebawem — mam nadzieję, że ci już lepiej. Ale wiesz, co nas martwi: oto stałaś się Orangewoman, a tego nie chcemy, my, patryjoci!“

„Edward wpadł na chwilę do domu — ciągnie Pamela — gra teraz w szachy z Cumminsem (aptekarzem — patryjotą) i jest szczęśliwy, jak król (wyrażam się niewłaściwie, gdyż królowie nie są pono wcale szczęśliwi, a Eddy nie jest wcale podobny do króla)! Brak nam tylko Ciebie, Twego śmiechu, Twojej harfy, Twojej kochanej twarzy, le cher Toi!“

„Szczęśliwa czwórka“ ma nadzieję spotkać się znowu tym razem w Belfast w domu Artura O'Connora. Porywa on ludność czarem swej wymowy, — sale nie mogą pomieścić słuchaczy.

Pamela, z odwiedzin u Lucji, pisze do męża: „Naprzód rozmawialiśmy poważnie, domyślisz się, że Belfast był treścią naszej konferencji, a potem zaczęliśmy szaleć. Odspiewaliśmy The Song, jednym słowem byliśmy godnym pendant Dwóch Druhów z Belfastu, o ile dwa biedne kruche naczynia, poor weak wessels, porównać można do spiżowej mocy Mężów: the those mighty beings, Man!“

Z Belfast w początku stycznia rzucił Edward radosne wezwanie siostrze:

„Lucy, jak tylko żółtaczkę cię opuści, gotujcie się do drogi, Ty i Pam. Musicie przyjechać. Nie uznaję żadnych ale, żadnych co świat o tem powie? żadnych oszczędności — jednym słowem: żadnych nonsensów. Twój rozumny brat E. F.

„Naprzód „Drogą Olbrzymów“ i śmieć się ze wszystkich rad!“

Droga Olbrzymów, Giants Causeway, była to wspaniała bazaltowa płyta, wchodząca, jak przylądek, w morze na cyplu północnego wybrzeża Irlandji, o 5 mil (angielskich) od Belfastu w hrabstwie Antrim.

Stara legenda przywiązana była do tego miejsca. Tu miał się odbyć śmiertelny pojedynek między olbrzymem Mac Finnem, władcą Erynu, a Baldonerem, przybyszem z Anglii.

I było proroctwo: „Ujrzy kiedyś Giants Causeway wraz z zwycięstwem Mac Finna — ucieczkę ciemności“.

Ludzie, organizujący w Belfaście tajny Rząd Narodowy, ludzie rozumni szaleli wierzyli tej przepowiedni.

W Belfast ustalono, że wybuch insurekcji ma się odbyć o własnych siłach; Francuzi, gdy przybędą, będą

przymierzeńcami a nie okupantami. Irlandja ogłosi się Republiką, na której czele stanie Dyrektorjat, złożony z pięciu osób. Mieli to być: Fitz Gerald, O'Connor, Mc Newin Oliwer Bond i Addis Emmet. Mc Newin udał się do Paryża, aby dopilnować porozumienia z Francją i nie dopuścić powtórzenia się fatalnej pomyłki. (c. d. n.)

O JEDNEJ ZAPOMNIANO

W zamieszczonym w jednym z ostatnich numerów „Bluszczu“ komunikacie Biura Prasowego dla spraw kobiecych w artykuliku na temat udziału kobiet lwowskich w prasie i literaturze nie wspomniano nazwiska Bogumiły Ancówny. Wprawdzie mówiło się tylko o żyjących, jednakże pamięć jej jest jeszcze tak świeża, a udział w życiu publicystycznym był tak wybitny, że godzi się poświęcić zmarłej w r. 1923 dziennikarce kilka słów wspomnienia.

Sp. Bogumiła Ancówna, przed wojną nauczycielka żeńskich szkół średnich i gorliwa działaczka społeczna, przeszła w latach wojennych do zawodu dziennikarskiego i pracowała w nim z niezwykłym zapałem, energią i zamięłowaniem w dziale politycznym Gazety Porannej i Wieczornej, której całkowite kierownictwo objęła w czasie walk z Ukraińcami i prowadziła samodzielnie, chociaż bezimiennie przez lat kilka. Córka powstańca z r. 1863 i literatki, Józefy z Zagórowskich, wychowana na obczyźnie, była ś. p. Ancówna gorącą patriotką i pracę publicystyczną poimowała bardzo wysoko i po obywatelsku. Wyjątkowa gorliwość zawodowa i ciężkie warunki życiowe kazały jej zapomnieć o wszystkim, co nie miało związku z dziennikarstwem, zatracić samą siebie, zaniedbać osobiste wygody, pracować niemal 20 godzin na dobę, nie żądać własnego wyniesienia i korzyści. Wysoki poziom ówczesny pisma, które spotkało się nawet z pisemną pochwałą istniejącego wówczas Ministerstwa Sztuki i Kultury, był w znacznej mierze zasługą śp. Ancówny.

Niestety, jak często bywa w świecie kobiet pracujących, gorliwość i zdolności ś. p. Bogumiły nie znalazły dość uznania ze strony wydawców, co pośrednio stało się prawdopodobnie przyczyną jej przedwczesnej, tragicznej śmierci. Zgon niestrudzonej pracownicy i obywatelki wywarł we Lwowie w sferach życia społeczno i intelektualnego głębokie wrażenie. M. H.

ZAGADNIENIE PSYCHIKI U ZWIERZĄT

(ciąg dalszy)

Ogromne znaczenie i wpływ moralny i cywilizacyjny miała u Greków doktryna dla „wtajemniczonych”, oparta na 3 punktach.

1^o Jedność Boga.

2^o Mnogość światów w przestrzeni międzyplanetarnej i obrót ziemi taki, jakiego potem dowiódł Kopernik i Galileusz.

3^o Wielorakość egzystencji po sobie następujących duszy—(reinkarnacja). Platon przyswoił sobie idee pythagorejską o Polingenezie. A ugruntował ją na dwóch teorjach, wyłożonych w Phedonie.

1-a teoria: W naturze śmierć następuje po życiu, a zatem i życie musi znów nastąpić po śmierci. Gdyż nic nie może się narodzić z niczego. Gdyby istoty, które widzimy umierającymi, nie miały już nigdy wrócić do życia, zatem wszystko kończyłoby się na nicości śmierci.

2-a teoria: Platon zniża się do reminiscencji. W jego pojęciu uczy się—to przypominać sobie.

Cel wcielań się — zlanie ostateczne z pierwiastkiem doskonałości—Bóstwem. Zanim ono jednak nastąpi, tysiące lat w powolnym doskonaleniu się wędrować musi dusza z ciała do ciała... a przed każdym nowym powrotem pije wodę z rzeki Lethy, która jej odbiera pamięć poprzednich przeżyć.

Widzimy zatem z powyższego, że narody starożytne, narody, których duch potężny przyświeca nam do dziś, a których kultura i dorobek zostawiony jest nigdy nie wyczerpaną skarbnicą dla tyłowiekowych spadkobierców, narody te istnienie duszy i u zwierząt nie poddawały nigdy żadnej wątpliwości. W tej czy innej formie, czy to jako etap w ewolucji, czy to w formie kary—ciała zwierząt zamieszkiwała dusza; dusza, którą w ogólnym rozwoju świata brali poważnie pod uwagę, z którą się liczyli, nad którą się zastanawiali.

Nawet więcej. U narodów starożytnych odrębność otaczających ich żyjących istot, brak u zwierząt mówionego języka, nadawała tymże zwierzętom w oczach tych narodów specjalnego, tajemniczego czaru. Dopatrywali się w nich cudownego pierwiastka bóstwa, który tak często pod postacią szlachetnych, rasowych, wybranych zwierząt nawet czcili.

Bo przedewszystkiem narody te wierzyły mocno w nieśmiertelność duszy ludzkiej: sekty całe, ludzie czołowi swego narodu, kapłani

„wtajemniczeni“ i „wybrani“ poświęcali całe swe życie na doskonale nie dusz tak własnych, jak swych współbraci. Bo oni czuli w sobie i czcili go; pierwiastek. Bóstwa pielęnowali, rozwijali i nad nim pracowali. To też byli i zostali dlatego do dziś—nieśmiertelni.

Ludzkość dzisiejsza odrzuca wiarę w nieśmiertelność duszy, bo zagubiła, zatraciła w sobie pierwiastek czysty Bóstwa, dobra i mocy piękna. Dziś wierzy się tylko w materję, ją tylko widzi i czuje w sobie, a widząc jednak jej nicość, mało ją sobie ceni u siebie i innych.

Umysły obecne ludzkie stwarzają teraz arcydzieła techniki oraz niesłychanych morderczych sposobów do jaknajszybszych, dokładnych zniszczeń całych osad żywych, jak n. p. gazy trujące.

Materja aby zwalczała materję, bo materja—to jednak nicość.

O, nędzo walk minionej wojny i tej przyszłej, która nas czeka!

Nie stanie wtedy już bohatersko, jawnie, pierś w pierś, duchem rycerskim owiana postać, nie zewrą się w pojedynku śmiertelnym, jawnym ludzie różnych interesów i idei o ich przewagę.

W obecnych przybytkach nauki zmaterjalizowanej ludzkości mają w retortach gaz, co, jak piorun, zniszczy odrazu, skrytobójczo, życia całych narodów z naszej ziemi, zmiecie ciała, które nie są sobie i innym niczem więcej, jak tylko ciałem.

Więc nie dziw, że ludzkość dzisiejsza, ludzkość materji, co własną zagubiła duszę, a wiarę w jej nieśmiertelność, jako czynnik niepokojący i obciążający, niewygodny element dla obecnych umysłów, precz odrzuciła, że ta ludzkość, rozpanoszona w swej wielkości i niby mocy, nie czując jej w sobie, duszy w zwierzętach tembardziej nie widzi!

A przecież zagadnienie to istnienia duszy u zwierząt, ich skali uczuć i zdolności psychicznych jest tak stare, jak myśl ludzka; poprzez wszystkie wieki rozwoju ludzkości aż do dni dzisiejszych na plan dalszy spychać się nie daje. Szło ono i idzie za człowiekiem i w całej swej potędze i doniosłości stawało i staje przed najpotężniejszymi umysłami ludzkimi.

Średniowiecze, zamknięte w swych dogmatach religijnych, zapatrzone w człowieka, „obraz i podobieństwo Boga”, dla którego użytku i przyjemności jakoby został stworzony świat i wszystko, co na nim żyje, jak w fabryce zabawek—cacka dla dzieci, średniowiecze pierwsze starało się roz-

myślnie zagadnienie o duszy zwierząt w myśli ludzkiej zdławić i nie zmazać.

Bo, jak powtarzam, dla filozofów starożytnych nie tylko dusza ta niewątpliwie istniała i była brana w rachubę, ale sam człowiek był poprostu tylko najdoskonalszym zwierzęciem, stojącym na wyższym szczeblu rozwoju, na drabinie istnień.

I tak: Anaksagoras nazywa człowieka „najmądrszym” ze zwierząt. Sokrates—najpiękniejszym, Platon—zwierzęciem, posiadającym ręce.

Następca ich, Arystoteles, który przewyższył swych poprzedników swoją wiedzą przyrodniczo-historyczną, dopatruje się w duszy zwierzęcej właściwości i wartości duszy i rozumu ludzkiego. Dowodzi on, że dusza człowieka w dzieciństwie, w pierwszych etapach swego rozwoju, jest na poziomie duszy zwierzęcej i niczem się od tamtej nie różni (Historja naturalna, 8-ma księga). Podkreśla on tam, że jedyne „uspołecznione” zwierzęta to — mrówki, pszczoła i człowiek.

Zasadniczo Arystoteles uznaje 3 rodzaje duszy:

I-a—to dusza roślinna — najniższa, wysila się jedynie na zdobywanie sobie pokarmów.

II—to dusza zwierzęca — czująca. Ma wszelkie cechy roślinnej, prócz tego zdolność odczuwania wszelkich wrażeń, radości i cierpień.

III rodzaj duszy—to ludzka—najwyższa. Dusza twórcza. Ma w sobie wszelkie cechy duszy roślinnej i zwierzęcej, a prócz tego zdolność logicznego myślenia i zdolności twórcze. Dusza, najbardziej zbliżająca człowieka do Bóstwa.

Rzymski przyrodnik, Plinius, potwierdzając poglądy Arystotelesa, podkreśla, jako czynnik ogromnej wagi w społeczeństwie mrówek, instynkt ich, równy ludzkiemu, grzebania swoich zmarłych.

Pierwszy pisarz ery chrześcijańskiej, spychający zwierzęta we wszechświecie na plan dalszy, pierwszy pisarz tej ery, Celzjusz, żyjący w drugim stuleciu po N. Chr., przeniknięty głęboko duchem platońskim, poglądom religii chrześcijańskiej, odmawiającej duszy i rozumu zwierzętom, ostro się przeciwstawia.

Dowodzi on w swych pracach, że tak, jak między organizmem ludzkim a zwierzęciem niema właściwie anatomicznie wielkiej różnicy, tak i „dusza” zwierząt nie tylko nie stoi niżej od ludzkiej, ale często ją przewyższa. (c. d. n.)

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



CZEGO NIE MOŻNA PRZEBACZYĆ MĘŻOWI?

Jedna ze znanych autorek angielskich zamieszcza w miesięczniku „Lady's Companion” następujące uwagi pod powyższym tytułem: „Czego nie może żona, nawet najlepsza, przebaczyć mężowi? Gdyby mnie o to spytano, odpowiedziałabym bez wahania: skąpstwa. Łatwiej jest pogodzić się z mężem o temperamentie gwałtownym, wybuchowym, tacy ludzie bowiem bywają najczęściej w gruncie bardzo uczuciowi i przy pewnej dozie subtelności i taktu można się doskonale nauczyć unikania wszystkiego, co mogłoby wywołać rozdrażnienie i sprowokować wybuch gniewu.

Łatwiej jest nawet znieść niewierność męża, gdyż prawdziwie kochająca żona potrafi zawsze wkońcu znaleźć drogę do jego serca i zatriumfować nad rywalką. Każda wada charakteru da się w ten czy inny sposób zwalczyć i opanować, oprócz jednej tylko, najnieznośniejszej ze wszystkich: skąpstwa.

Życie kobiety, która poślubiła skąpca, staje się doprawdy piekielną męczarnią. Skąpstwo bowiem

ma tę jeszcze cechę, że wnika we wszystkie dziedziny życia i każdą z nich zatrzuwa swym jadem. Nie ma takiego drobiazgu, o któryby skąpy mąż nie czynił wymówek swej żonie. Znam mężów, którzy przeglądają skrupulatnie codzienną książkę rachunkową żony i żądają wytłómaczenia, dlaczego ten lub ów produkt podrożał, dlaczego pewnego dnia wydano na dom więcej, niż innego, i t. d. Są tacy, którzy żałują swym dzieciom i żonie pieniędzy na ubranie, chociaż środki ich pozwalają w zupełności na ten wydatek; inni znów wydają wszystko, co zarabiają, na siebie samych, odmawiając swojej rodzinie najniezbędniejszych rzeczy; inni wreszcie wymawiają codziennie swym żonom sumy, wydane na ich utrzymanie i doprowadzają je często skąpstwem swym do choroby nerwowej, a nawet samobójstwa.

Ze wszystkich powodów, wpływających na osłabienie lub zupełny zanik miłości małżeńskiej, uważam skąpstwo za najważniejszy — kończy swe uwagi autorka. „Gdyby istniała statystyka rozwodowa, oparta na rzeczywistych powodach, które doprowadziły żonę do zerwania małżeństwa, jestem przekonana, że 99 proc. tych powodów brzmiałoby krótko: skąpstwo męża.”

FRANCJA NIE CHCE MIEĆ LOTNICZEK

Nowa ustawa, wydana we Francji, nie dopuszcza kobiet do egzaminu na lotnika-pilota. Ustawa ta ma również działać wstecz, jak do-

noszą bowiem pisma francuskie, władze zażądały od tych nielicznych kobiet, które zdołały otrzymać dyplom pilotek, aby zaprzestały wykonywania swego zawodu. Pomiędzy niemi znalazła się także panna Adrienne Boland, znana lotniczka, która otrzymała dyplom w r. 1920 i uważana jest za wybitną siłę fachową na polu aeronautyki. Panna Boland oświadczyła, że dyplomu swego się nie zrzeknie i zwróciła się na drogę sądową, dochodząc swoich praw do zatrzymania tego, co jej zostało przyznane przez władze na zasadzie długoletnich studjów praktyki i doskonałych zdanych egzaminów lotniczych. Niewiadomo, jak się ta sprawa skończy, gdyż władze zamierzają podobno stanowczo usunąć wszystkie kobiety z aeronautyki. Z. B.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Ruchliwa firma wydawnicza „Książnica—Atlas” wzbogaca nasz rynek księgarski następującymi wydawnictwami:

Dr. Tadeusz Grodyński „Polskie prawo budżetowe,” O. Jacek Woroniecki „Około kultu mowy ojczystej,” Dr. Franciszek Tomanek „Handel towarowy i pieniężny,” Dr. Feliks Młynarski „Kryzys i reforma walutowa,” Inż. Józef Mokrzyński „Zarys organizacji pracy,” Emil Tenczyn „Wybór ćwiczeń chemicznych,” Franciszek Tomanek „Introligatorstwo w szkole.”

Nowy tom „Wydawnictw Lekarskich,” wychodzących pod redakcją Dr. med. i fil. Stefana Starling-Okuniewskiego zawiera zeszyt I części II-giej „Podręcznika chorób zakaźnych.”

W dodatku książkowym do Nr 32 „Bluszczu” rozpoczynamy wstrząsającą powieść wielkiej poetki i powieściopisarki włoskiej ANNIE VIVANTI p. t. „NAJA TRIPUDIANS”.

Okoliczności życiowe pchnęły autorkę na początku jej życia w kierunku studjów wokalnych i literackich. Dopiero Carducci, wielki wieszcz włoski, odgadł w niej talent poetycki. Pod jego auspicjami wypuszcza Vivanti w roku 1890 swój pierwszy plon: „Liryki”, które zarówno krytyka, jak i czytająca publiczność przyjęła z entuzjazmem.

Dalsza twórczość literacka Annie Vivanti—to powieści „I Divoratori” („Pożeracze”), „Circe” (historja Marji Tarnawskiej), „Vae Victis” (na tle wydarzeń ubiegłej wojny w Belgji), oraz dramaty: „L'invasore” („Napastnik”), „Le bocche inutili” („Zbędne usta”) — wreszcie „Naja Tripudians” (Żmija egipska”) stawiają naszą autorkę w rzędzie najwybitniejszych pisarzy współczesnych, nie tylko włoskich, lecz europejskich.

Twórczyni wstrząsających obrazów, rzeźbiarka zdań syntetycznych a mocnych, mistrzyni efektów nieomylnych, Annie Vivanti powodzenie swe zawdzięcza tak rzadkiemu połączeniu walorów treści i formy, głębokiej i wzniosłej myśli, oraz pełnego bogactwa stylu, przedewszystkiem zaś poezji subtelnej i przenikającej, która święci triumf na kartach wszystkich jej powieści.

WESOŁE PRZYJĘCIE W OGRODZIE

W ciężkich pod każdym względem dzisiejszych czasach, gdzie trudniej jeszcze o śmiech i szczerą zabawę, niż o pieniądze, chwycić należy każdy przejaw humoru i wesołej pomysłowości, jako zdrowy objaw tak niezbędnej do życia radości. Takim objawem nazwę dowcipną dekorację stołu w ogrodzie, bez srebra, kryształów i kosztownych ozdób, jedynie tylko polegającą na



Rys. 1

Rys. 2 przedstawia idyllę przy studni z arbuza, wyczyszczonego, ustawionego na trawniku z jarmużu. Stoi przy niej czuła para, — ona dumna z szaty z liści kalafjo-

rów, z czułym uśmiechem na kartoflanej buzi, w rączkach z fasoli trzyma kubełek z białej marchwi; on mocno oparty na nóżkach z podłużnej rzepy, surducik ma z rzodkwi murzynki, ręce z fasoli, głowę z kartofla, a kapelusz z kalarepy. Z dumą chwycił za kubełek, tak jakby



Rys. 2

inwencji i zręczności robiących ją osób. A więc rys. 1 przedstawia nam łódź z wydrążonego ogórka, żeglującą po falach z listków kapusty, w niej marynarze z czerwonej marchwi trzymają w rękach z fasoli — wiosła, wystrugane z chrzanu lub pietruszki.

pragnął wodą z niego ugasić pragnienie szczęścia.

Rys. 3 przedstawia nam dalszy ciąg flirtu przy studni. Oto młoda para z radością na kartoflanych buziach wrytą. Ona w powłóczystej szacie z liści chrzanowych, w kapelusiku modnym z pomidora;

on na swych nóżkach z rzepy, w surduciku z tykwy, w kapeluszu z ogórka, popycha wózek z łupinki od orzecha, w którym pod budką z listka kapusty siedzi maleństwo, naturalnie, jak i rodzice — kartoflane.

Przy tak przybranym stole nie można się nudzić, zwłaszcza, że nie może on służyć do etykietalnego przyjęcia.

Tak się bawić można tylko w



Rys. 3

młodem koleżeńskim lub rodzinnym gronie. Nic więc dziwnego, że co chwila wybuchający śmiech serdeczny zaostrza apetyt i humor biesiadników. A co za pole do okazania swoich pomysłów i do współzawodnictwa w artystycznym ich wykonaniu!



PIÓRA...

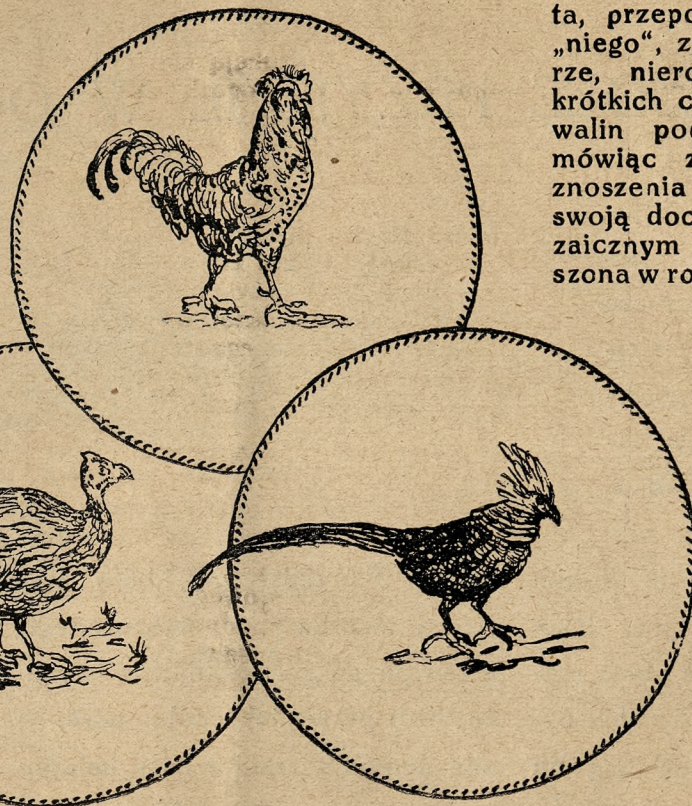
Nerw twórczy mistrzów Paryża potrzebuje podniety!

Zgodnie z prądem czasu, nie szuka jej w pamiętnikach przeszłości, w złotych książkach historii, we wzorach sztuki, a w skromnej, zwykłej, świeżem sianem i grzędą rosnących kwiatów pachnącej fermie francuskiej.

Cóż przynosi nam ta demokrytyzacja wzorów, to zejście z królewskich wyżyn do sadu wiśniowego pod cień rozłożystych jabłonek, do stóp winnic bogatych, w zagajniki i lasy, w łąki, balsamiczną trawą szmaragdową, w łąny złociste...

Gdyby krwiożerczym dziejom lat ostatnich nie złożono w darze i harfy eolskiej, której gra budziła do życia anielskie nastroje, wynikiem tego zejścia nad błękitne strumienie byłoby niezawodnie motyle, bławatki lub polne róże!

Dzisiaj, jednak, z całej tej symfonii swojskości wyłowi ono coś, stojącego daleko od księżycowych



wych blasków i gwiazdnych szlaków, coś, o czym mówi ad hoc stworzona sentencja:

„Si votre ramage est semblable à votre plumage, vous serez le phenix de la mode de ce jour“...

A więc idziemy w niewolę nowego kaprysu! Nasze kołnierze, kapelusze, kieszonki, paski, kamizelki, strojne będą piórami dobrotliwych kumoszek, kaczkami i kurami zwanych!

Dernier cri—to już dzisiaj nie szal batikowy, nie żabot z cudnej pajęczej tkaniny, a zwycięski i jaskrawą w słońcu grający barwą pęk piór kogucich czy bażancich.

Współzawodnictwo kwitnie nie tylko na niwie politycznej! W sejmach i parlamentach jedno drgnienie busoli stanowi o zwycięstwie lub porażce! Palmy pierwszeństwa rozdać, częściej przypadek, zbieg okoliczności, jedno mistrzowskie pchnięcie, w pierś przeciwnika skierowane. I oto takiej szczęśliwej grze zawdzięcza godność panującego bażant.

Pióra jego grają tęczą barw od ciemnego złota aż do szkarłatu i stalowych błysków, mienia się w słońcu i królują nad wszystkimi, gdyby jednak nie „la mode sportive“, fale leśnych woni, jakie drżą w poszumie skrzydeł bażancich, nie przyznałyby mu palmy pierwszeństwa. Wręczonoby je skromnej perliczce, która dotąd, otoczona pewnym nimbem swojskiej poezji, jaki siedł od jej cichego żywo-

ta, przepojonego wiernością dla „niego“, z którym, żyjąc w parze, nierozstaje się nawet w krótkich chwilach kładzenia podwalin pod przyszłe pokolenia, mówiąc zrozumialej, w czasie znoszenia jaj w kurniku, misję swoją doczesną kończyła w płożaicznym sosie „groseillet“, duszona w rondlu lub w złocisty pancerz chrupiącej zakuta skóry.

Bażant nie znalazłby ratunku nawet w liljowej mgłę wrzosowisk, w koronkowych paprotnych gajach, w woni storczyków leśnych, w aksamitnych dywanach mchów misternych, w ożywczej woni świerków i jedliny, w królewskich konarach dębu, zwiewnych brzożach i modrzewiowych gęstwina, gdyby obraz ba-

żanta nie był związany z wspomnieniem rogu myśliwskiego, huku strzałów, rżenia niecierpliwych rumaków i wszystkiego tego, co składa się na ucieleśnienie słowa: „polowanie.“

Oto temu dreszczowi sportowemu, jaki niesie ze sobą pióro bażan-





brzeg tiuniki, tworząc misterne paski, lub kołnierze.

W tym hołdzie, złożonym ptactwu domowemu, doszukują się niejedni wiele więcej, niż pogoni za nowymi źródłami wyjąłowionej wyobraźni tych, od których czekają ciągle czegoś nowego i coraz bardziej ekscentrycznego! Doszukują się w niej prądu chwili, która, depcząc po królewskości, idzie ku nowemu życiu, chwili, co przysypuje pyłem zapomnienia władcze do niedana pióra kosztowne i egzotyczne, sięga swą zaborczą dłoń po upiśnienie swojego ptaka!

Gdyby nie doświadczenie, które wie, że w dziedzinie mody wszystko wraca, wraca nieomylnie, jak uśmiech wiosny, żar lata, złocista soczystość dojrzałych owoców jesieni, biel śniegu zimowego i lodowate jej wiatrów podmuchy nasze królewskie pleureuse'y, pęki rejektorów, crosse'ów i paradise'ów, rzuconoby, jak bezużyteczny przeżytek, do kosza!

A jednak... o ile lepiej być dzisiaj marnem, chociaż kosztownym piórem, które się przeżyło, niż wielkimi tego świata!

Les rois en exil nie dożyją powrotnej fali; pióra strusie, które na tyłu dworach królewskich, dostojne strojąc głowy, zamiatały proch z przed stóp monarszych, w kornym pokłonie legły na sen prze-



cie, zawdzięcza obranie go na sezon, co idzie, panującym. Inaczej wyszukany, a modny timbre piór perliczych, dających tak miłe wytchnienie po jaskrawości doby ubiegłej, zlewając się dyskretnie z szarymi lub lavande, tonami naszych sukien, byłby utrzymał się na miejscu prezydjalnem, otaczając

ściowiy! Byle ochronić je od zagłady, a głównie moli zaborczych, gwiazda ich wzejść musi, i stawia się na pierwszy apel w całej swej krasie, wytrącając berło z przyziemnych sfer domowego podwórka, i wzniosą dumne swe kiście, więzione w mrokach pudeł i kufrów, ku chmurom i słońcu!

W. D.

MODA W EPOCE EMPIRE'U

Uczesania i kapelusze. Orgja klejnotów i rozrzutność w bieliznie. „Réticule” i waza etruska. Napoleon na chustce do nosa.

Reforma stroju w końcu w. XVIII pociągnęła za sobą radykalne zmiany w uczesaniu. Starano sobie przyswoić układ włosów na posągach starożytnych. Rozwierzona „chevelure à la sauvage” od roku 1796 stopniowo ztraca swoją pierwotną dzikość. Włosy ściśle przylegają do głowy, często ujęte w siateczkę, loczki płasko wija się na skroniach, warkocze są zaplecione. Uczesanie dotychczas maskowało kształt czaszki, teraz go starannie podkreśla. W 1796 r. nie było kobiety, której by własne włosy wystarczały. W 1806 nadmiar ich zgoła nie był



1810 r.

pożądany. W ciągu dziesięciu lat uczesanie uległo radykalnym zmianom. Nie idzie zatem, aby kobieta

wyrzekła się peruki. Zbyt długo urok wykwintnej damy polegał nie na stroju, ale na fryzurze. Przetrzysano starannie całą starożytność i średniowiecze w poszukiwaniu nowości i zmiany. Rezultat był ten, że około r. 1800 nie było damy, któraby poprzestawała na swoich własnych włosach. Zmieniano dowolnie nie tylko rodzaj uczesania, ale i kolor.

Rano kobieta mogła być brunetką, wieczorem blondynką, a nazajutrz złocisto-rudą.

Pani Tallien posiadała 30 rozmaitych peruk, każda wartości 10 luidorów. Włosy stały się przedmio-



1803 r.

tem handlu. Funt włosów blond kosztował 70 franków. W ostatnich latach 18 wieku zanika zwyczaj pudrowania fryzury.

Jednocześnie z reformą uczesania maleją kapelusze. Wchodzą w modę hełmy starożytne: „casquets à la Minerve”, zdobne w girlandę laurową, potem średniowieczne hełmy turniejowe z czarnego aksamitu z pekiem piór strusich, wreszcie budki, których panowanie ciągnęło się najdłużej. Na scenie po raz pierwszy włożyła budkę panna Mees w Hamburgu w r. 1797 w Operze Grétry'ego, „Karawana z Kairu”. Odtąd budka przechodzi wszystkie fazy rozwoju, zmieniając się z pionowego komina w poziomy, przy czym twarz ginęła bez śladu, zamknięta w olbrzymim rondzie tak, że humorystyczne pisma nazywały ówczesne damy „niewidzialniami”. Za materiał służyła słoma, lekki filc lub tiul. Tak przygotowaną formę ozdabiano pionowo sterzącymi kwiatami lub powiewającymi piórami, czasem całą osłanianą woalem. Latem 1814 r. w Berlinie chętnie dekorowano budki liljami lub liśćmi palmowymi. Powstawały w ten sposób istne czupiradła, dowodzące, co może zrobić wypaczona moda nawet z wdzięcznej i pełnej swoistego czaru formy.

Obok tego chętnie noszono toki i berety z piórem, zalotnie na jedno oko spuszczone. Spotyka się też fasony, podobne do przewróconej do góry dnem doniczki, albo bardzo wysokie cylindry bez ronda. W 1805 r. pani Belmont wprowadziła modę t. zw. „fanchon”, luźnej zarzutki na głowę, podczas gdy od Hiszpanek zapożyczono t. zw. „zasłone Igienji”, gładko spoczy-

wającą na włosach. W zimie roku 1804—1805 za przykładem pani de Remusat zaczęto nosić turbany na dworskich przyjęciach. Turban taki układano na głowie albo z białego muślinu, albo z barwnych tureckich tkanin.

Od początku 19 wieku stopniowo zagnieżdża się czepeczek, ciasno otulający głowę i ujmujący twarz w obramowanie z koronek. Cieszy się on szczególnym upodobaniem w Berlinie, gdzie w 1815 r. nawet dziewczątka, którym daleko jeszcze było do oczepin, chętnie go przywdziewały. To ujednolicienie strojów, bez względu na różnice wieku i stanu, niemile raziło współczesnych. Reinhardt pisze do żony swej z Paryża w 1803 r., że teraz nie dość, że córki od matki nie można odróżnić, ale że na scenie widział 5 mężczyzn rozmaitego wieku i stanu, wszystkich jednakowo ubranych.

A teraz nieodłączny towarzysz damy empirowej, „réticule”, ma głos. Zrodził go brak kieszeni w modnym stroju, ale, żeby usprawiedliwić jego istnienie, trzeba było wymyśleć nową mitologiczną bajeczkę. Z chwilą, gdy uczeni stwierdzili, że już starożytne Atenki używały „réticule'ów”, zaczęto je wyrabiać na modłę starożytnych urn i ozdabiano, jak wazy etruskie, dzięki czemu każda dama czuła się conajmniej westalką.

Prostota linii i ubóstwo barw antykizowanego stroju musiały być ożywiane biżuterią. Najchętniej noszone były kamee i fałszyfikaty starożytnych klejnotów, rzekomo zdobywane z trudem dla muzeów, a potem wędrujące ukradkiem do szkatulek pięknych dam. Noszono bransolety na ramionach i nogach,



1803 r.

pierścienie na palcach rąk i stóp, łańcuchy, sześć razy okręcane wokół szyi, zausznicze o trzech wisiorach, a przede wszystkim kamee i djademy. Józefina kochała się w kameach, stawiając je nawet ponad brylanty. Jubiler Nitot wykonał dla niej wspaniały strój z 46 kamei, 36 intaglii i 82 djamentów, kombinacja imponująca, całość jednak była tak ciężka, że jej niepodobna było nosić.

Hrabina Potocka, poza 300 cennymi klejnotami, posiadała 114 samych pierścieni. Do jakiego stopnia dochodził zbytek w używaniu biżuterii, świadczy fakt, że gdy hrabina Schwichtel ukradła na balu pani Demidowowej djamentów za 40.000 funtów, zabrała jej tylko drobną część jej zasobów.

Na jednym dworskim balu w Paryżu, przedstawiającym pochod Peruwianek do świątyni słońca, oszacowano klejnoty obecnych dam na 20 milionów franków. Pani Duroc miała brylanty wartości 100.000 talarów, pani Neyza za 100.000 franków, panie Marat i Savary za 50.000 fr. Rodzinne klejnoty księcia Mikołaja Esterhazego oceniono na 4 miliony guldenów. Jego galowy mundur węgierski po każdym włożeniu wymagał reparacji za 8000 guldenów, a oceniono go za 4 miliony. Damy, biorące udział w słynnym rycerskim kadylu w Burgu podczas kongresu wiedeńskiego, miały na sobie klejnotów za 30 milionów franków. Sama księżna Esterhazy miała ich za 6 milionów. Dla charakterystyki upodobań epoki znamiennym będzie fakt, że perły nie były w modzie, zato ametyst był stawiany na równi z najdroższymi kamieniami, mo-



Lady Hamilton

że dlatego, że jeszcze nie odkryto niesłychanie bogatych kopalni ametystów w Rosji i w Brazylii.

Jako ciekawy rys niemieckiej pedanterji, pragnącej nawet świecidła wykorzystać w celach pewnej doktryny, należy zanotować pierścień litologiczny, wprowadzony w użycie przez dwóch drezdeńskich mineralogów, dr. Gressa i dr. Titiusa. W pierścieniu tym oczko mogło się zmieniać. Pierścień wraz z kompletem 30 kamieni kosztował 14 do 19 talarów.

Pierwsze cesarstwo obok klejnotów wprowadziło jeszcze jeden rodzaj zbytku: bieliznę. Jeszcze w 1804 r. Kotzebue pisał z Paryża, że elegancka kobieta musi mieć 600 sukien, ale tylko tuzin koszul. Tymczasem wprędce, za przykładem pary cesarskiej, ten stosunek uległ zmianie. Napoleon, ku wielkiemu zdziwieniu swego otoczenia, codziennie zmieniał bieliznę. Józefina miała 498 koszul i zmienia-



ła je trzy razy dziennie. Nie wkładała nigdy tej samej pary pończoch dwukrotnie. Swej siostrzenicy, pannie Tacher de la Pagerie,

dała w posagu za 25.000 franków samej bielizny. Sędziwa Markiza de Coislin, zmarła w 1817 r. po 85 latach żywota, skarżyła się Chateaubriandowi na zmianę mody w sprawach bielizny.

— „Za moich czasów, mówiła, miało się dwie koszule; kupowało się nową, kiedy stara się podarła, ale zato chodziłyśmy w sajetach i nie wyglądałyśmy, jak pokojówki“.

Zwyczaj zażywania tabaki, unięśmiertelniony przez Napoleona, wywołał konieczność stosowania wielkich chustek do nosa.

W 1812 r. robiono je z perkalu i drukowano na nich mapy. W roku 1814 umieszczano na nich chętnie postacie, związane z epopeją napoleońską. Jakby w myśl zasady „vae victois“ spotykamy często na tych bawełnianych płachtach apoteozę Wellingtona i karykatury wielkiego więźnia oceanu, nowoczesnego Cezara... Spero.

O ZACHOWANIU ZDROWIA I MŁODOŚCI

Czy jest kobieta o szczerze kobiecej psychologii, któraby nie chciała jak najdłużej być młodą i powabną, a przede wszystkim zachować siły i zdrowie możliwie jaknajdłużej? Napewno nie istnieje taka, lecz życzenie to pozostaje w sferze pobożnych westchnień, gdy tymczasem zarówno nad rozwiązaniem tego zagadnienia, jak i nad wszystkimi innymi w życiu, trzeba poprostu popracować i to wytrwale i usilnie. Przedwczesna starość i zniedołężnienie fizyczne jest najczęściej winą własnego naszego niedbalstwa i rozleniwienia. Kobiety zachodu, Paryżanki, Angielki, zdumione są, przybywszy do Warszawy, widokiem naszych pań, pozwalających się przedwcześnie i bezopornie ogarniać dolegliwościom starszego wieku.

Nie myślę tu o walce z nieubлагanym czasem za pomocą kosmetyków, bo to droga zawodna, często nawet wprost ku przeciwnym prowadząca rezultat, lecz o braku u nas kultury fizycznej. Znam Angielkę, która przybyła tu do Warszawy z mężem i codziennie zaczynała dzień od przejażdżki konnej do Wilanowa. Liczyła sobie 64 lata i nie uważała się za starą. Całe lato ubrana białą, ruchliwą i żwawą, z podziwem spoglądała na rówieśnice swoje, Polki, zgrzybiałe i niedołężne.

Młodość Paryżanek, jak wiadomo powszechnie, daleko jest przeciągnięta poza granicę wszelką, uznawaną u nas. I niema w tem nic sztucznego, ani przesadnego, żadnej śmieszności, poprostu racjonalna higiena, rzeźwość ciała i ruchliwość umysłu. Czy nie warto popracować, aby dojść do takich rezultatów? — Najbardziej przekonujące są zawsze nie tyle teorie, ile przykład żywy. Najchętniej przeto podzielę się z czytelniczkami „Bluszczu“ własną pracą w tym kierunku i otrzymanymi rezultatami.

Przed laty osiemnastu czy może dwudziestu w modzie było dziełko Müllera: „15 minut dziennie dla zdrowia“. O tyle w modzie, że czytano je chętnie, lecz nie wiem czy kto miał cierpliwość systematycznie stosować wskazówki, zawarte w „Moim systemie“. Przeczytałam i ja zarówno to dziełko, jak i drugie tegoż autora: „Etyka płciowa i szczęście w życiu“. Prawda, szczerość, moc przekonania i prostota tych znanych, lecz zapomnianych prawd, wprost olśniły mię. „Poco być wątłym, chorowitym i niekształtnym—woła Müller—skoro w naszej mocy jest stać się silnym, zdrowym i kształtnym?“ Wedle autora, w każdym wieku można zacząć pracować nad zaniedbaną kulturą fizyczną: nie trzeba się zrażać lata-

mi lub nabytymi już złemi nawykami. W specyjalnym wydaniu „Moim systemie dla kobiet“ autor wychodzi z założenia, że jedynym istotnym szczęściem kobiety jest miłość i macierzyństwo. Na to, aby zdobyć miłość, trzeba być powabną. Piękność tu zbyt cenna: świeżość, zdrowie, wdzięk są już wielkim powabem, a te zalety nabyć można. Gdy chodzi o macierzyństwo, to znowu szczęściem, a poniekąd i obowiązkiem, jest mieć dzieci zdrowe, a to znowu ściśle się wiąże z dobrym stanem zdrowia matki. Niektóre ćwiczenia (rozwijanie mięśni brzucha) specjalnie mają na celu ułatwienie porodów, i wiem, że istotnie, stosowane systematycznie, dawały wyniki zdumiewające. Wogóle gimnastyka dla kobiet wedle systemu Müllera ma nie tyle na celu rozwijanie siły muskularnej, ile gibkości, sprężystości, harmonji ruchów i wdzięku.

Straszny wróg gorsetów, Müller, zaklinał niewiasty w imię higieny, estetyki, zdrowia potomstwa, aby zarzuciły te barbarzyńskie i szkodliwe narzędzia tortur. Wówczas, gdy to pisał, głos jego był głosem wołającego na puszczy. Skoro gorset był w modzie, jakaż siła ludzka mogła wybić z głowy kobietom, aby przestały go nosić? Przecież wówczas byłoby nieprzyzwoitością ukazać się bez gorsetu... Okrutna

ironja Iosu nie pozwoliła Müllerowi oglądać modnej kobiety czasów dzisiejszych..

Nie mam bynajmniej zamiaru streszczać tu znanego powszechnie dziełka. Te, które go nie czytały, niech wezmą je do ręki. Przypomnę tylko pokrótce, że system Müllera obejmuje: codzienne obmywanie całego ciała, samomasaż i gimnastykę szwedzką. Poza tem kąpiele powietrzne, słoneczne i sypianie przy otwartym oknie.

Przez lat przeszło dwadzieścia stosuję ten system. Gdy czasu brak, to odbywam tylko obmywanie (zawsze wodą o temperaturze pokojowej) i masaż. Okna w sypialni mam otwarte we dnie i w nocy, za wyjątkiem najchłodniejszych miesięcy w roku, a i wówczas, nawet w mrozy, pierwszą moją czynnością po wstaniu jest otworzenie okna i przewietrzenie gruntowne pokoju. Latem na wsi odbywam codzienne kąpiele słoneczne — krótkie i powietrzne — dłuższe. Cały dzień w lecie na wsi noszę strój możliwie przewiewny i treпки na bosych nogach. Gdy jest rosa zrana, chodzę po trawie boso. W odżywianiu letniem wprowadzam zmianę: dużo owoców, mleka i jarzyn, specjalnie rzodkiewek i sałaty. Wszystko to proste i łatwe, nieprawdaż? Trochę tylko dbałości i starania. A rezultat?

Przez lat dwadzieścia blisko — odkąd stosuję ten system, nie oglądała mnie żadna poczekalnia lekarska. Wydatki na aptekę stanowią minimalną rubrykę w mym budżecie. Wyjazdy do wód są mi nieznane. O ile wyjeżdżam, to nad morze lub w góry — dla powietrza. Ze współczuciem spoglądam na rówieśnice moje lub kobiety zgoła młodsze, prowadzące uciążliwą kurację odtłuszczającą, głodzącą się niemilosiernie lub odmawiającą sobie ulubionych potraw i przysmaków — to wszystko dla osiągnięcia uciekającego przed nimi mirażu: szczupłości i wysmukłości. Nieznane mi są również usilne i skomplikowane kuracje, prowadzone w celu zapobieżenia złej przemianie materji. Uważam, że choroby są nabyte przez niedbalstwo, wskutek wadliwego trybu życia i odżywiania.

Co do mnie (a przypisuję to jedynie systematycznemu stosowaniu wyżej podanych przepisów), zachowałam najzupełniej dziewczęcą swą figurę, a nie tylko figurę, także i fizyczną sprawność, elastyczność i giętkość. Z podziwem i politowaniem spoglądam na kobiety, młode jeszcze, a już niedołążne, które w najprostszych, codziennych zagadnieniach nie umieją sobie dać rady. Nie potra-

fia wskoczyć do tramwaju lub zeń wysiąść, przebiec przez ulicę między samochodami, dostać się na górne łóżko w wagonie, wspiąć się na okno dla zawieszenia firanki — ba! nie są w stanie wejść na schody bez odpoczynku na każdej kondygnacji lub odbyć dłuższy kurs pieszy. Błogosławione ćwiczenia gimnastyczne, któreście mię nauczyły odbywać to z całą swobodą i łatwością, bez oglądania się wciąż na pomoc czyjaś, bez zmęczenia, bez wysiłku.

Powiecie mi, panie, że to wszystko jest kwestją zdrowia: zapewne tam, gdzie istnieje wrodzona lub nabyta wada organiczna, trzeba ją przedewszystkiem leczyć. Ale uodpornić i wydoskonalić organizm można bez pomocy lekarza i apteki. W dzieciństwie uchodziłam za najwzięjsze dziecko w rodzinie, a dziś, od lat całych, tak się zahartowałam sama za pomocą wyżej opisanych skromnych zabiegów, że nie znam zupełnie, co to zaziębienie, grypa, katar i t. p. biedy.

Drugą objekcją, jaka mnie spotkać może — to, że przy dzisiejszym gorączkowym trybie życia brak czasu na codzienne zabiegi. Odpowiem na to, że przy pewnej rutynie zabierają one kilka, a nawet (gdy skrócone) i parę minut czasu. Ileż w ciągu dnia marnuje się tych minut i jak jałowo i bezużytecznie! Trzeba tylko umieć i chcieć rozporządzić swym czasem. A chyba nie szkoda go na cel tak pierwsorzędny, jak wyrobienie w sobie kultury fizycznej i zachowania zdrowia, młodości, sprawności fizycznej, i, co idzie za tem wszystkim, urody.

W konkluzji przypominam jeszcze, że teraz jest lato, skarbnica zdrowia dla tych, co je wykorzystać umieją, zbiornik energii na cały długi rok pracy! Nie uciekajcie od słońca, pozwólcie mu przenikać dobrodziejstwem swych życiodajnych promieni cały swój organizm dla odświeżenia i odnowy, żyjcie, o ile się tylko da, na świeżem powietrzu, a nie wśród dusznych ścian, używajcie kąpiei wszelkiego rodzaju: wodnych, słonecznych, powietrznych, zmieńcie swą dietę w tym sezonie owoców i jarzyn — na jarską, zarzućcie wszelkie komplikacje i skrępowania w stroju; wróćcie chociaż na ten krótki przeciąg czasu, jakimi są wakacje i urlopy, do prostoty stroju, jedzenia i trybu życia. Osiągnięcie z pewnością lepsze rezultaty, niżli kosztowną kuracją w modnych miejscowościach, gdzie się poprostu karnawał zimowy przenosi na grunt letni, a z nim wszelkie szkodliwe dla zdrowia przyzwyczajenia.

M. D.

CHOROBY DROBIU

Czarną stroną naszej hodowli drobiu są różne epidemie i choroby, od których rok rocznie mnóstwo sztuk pada, powodując nie tylko straty materialne w poszczególnych gospodarstwach, ale i wielkie zniechęcenie hodowców w tym kierunku. Sprawa chorób zakaźnych drobiu powinna żywiej obchodzić nie tylko osoby bezpośrednio niemi zainteresowane, ale także i szerszy ogół, bo infekcja, przenosząc się szybko z miejsca na miejsce, powoduje olbrzymie straty w gospodarstwie i produkcji ogólnokrajowej.

Elementarna zasada higieny tak ludzi jak i zwierząt, głosi, że dużo łatwiej jest zapobiegać wszelkim chorobom, aniżeli, gdy takowe wybuchną, zwalczać.

Stosuje się to w całej rozciągłości do hodowli drobiu, która nie będzie zbyt trudną, jeżeli nie zaniedbamy ściśle wypełnić wszelkich przepisów, dotyczących racjonalnego urządzenia pomieszczeń, czystości powietrza i pokarmu.

Dobra hodowczyni nie powinna zapominać o tych zapobiegawczych porządkach, jakimi są: widny, o dużych oknach, słoneczny kurnik, częste bielenie i wykładanie ściąg, staranne oczyszczanie dobrze zbudowanych grząd, mycie naczyń, korytek i poidełek, czysta woda, piasek, gruz wapienny i żwir, grzebalka, wybiegi, świeże powietrze oraz racjonalne, odpowiednie do sezonu i wieku, żywienie.

Rozróżniamy u drobiu choroby zakaźne i niezaraźliwe. Pierwsze spowodowane są drobnoustrojami, przenoszącymi się łatwo tak przez drób, jak i przez ludzi (n. p. na ubraniu, na obuwiu); przez naczynia, zanieczyszczoną wodę czy paszę dostają się nierzadko nawet do wzorowo prowadzonych gospodarstw przy najmniejszej nieostrożności ze strony hodowcy.

Najgroźniejszą, najbardziej rozpowszechnioną z pośród chorób drobiu jest cholera, na którą zapadają wszystkie gatunki tak swojego, jak i na swobodzie dziko żyjącego ptactwa, mającego możliwość zetknięcia się z infekcją n. p. wróble, sroki, wrony, zaglądnące do naszych podwórek i t. d. Stwierdzono, że cholerą drobiu zarażać się mogą nawet i króliki, szczególnie jednak wrażliwym jest na zakażenie drób ras uszlachetnionych.

Przyczyną, wywołującą cholerę drobiu, są bakterje, mające kształt krótkich pałeczek, z zaokrąglonymi końcami, tak zwane „bacterium avisepticum”, wykryte najpierw we Włoszech, a później dokładnie

zbadane i opisane przez Toussaint'a i Pasteur'a w Paryżu. Są one niezmiernie małe, a charakterystyczną ich cechą jest zabarwienie się wodnymi roztworami barwników anilinowych tylko na końcach, środek ich pozostaje niezabarwionym, i dlatego zaliczają się do bakterji dwubiegunowych (bipolares). Szczególnie dobrze zabarwiają się roztworem fuksyny w 1%-wej wodzie karbolowej. Rozwijają się w przystępie tlenu i rosną na pożywce żelatynowej, na buljonie i w surowicy krwi.

Są bardzo odporne na działanie wszelkich czynników zewnętrznych oraz innych bakterji, a zwłaszcza gnilnych, i dlatego przebywają długo w wydzielinach, w kale oraz nawet już w zupełnie zgnitych narządach wewnętrznych padłych i zakopanych sztuk. Potęgują swoją jadowitość w hodowlach zanieczyszczonych, źle i brudno utrzymanych, w kurnikach ciemnych i wilgotnych, bo wilgoć i cień wpływają dodatnio na ich rozwój. Od promieni słonecznych i od wysuszenia giną w krótkim czasie. Z chemicznych środków, łatwych do zastosowania, zabija skutecznie bakterję cholery 5% roztwór wapna, 3% roztwór kwasu karbolowego lub 3% gorący roztwór sody.

Doświadczenia wykazały, że zarazki cholery mogą dostać się z krwią kur chorych do jajników i wnikać do żółtka. Kury mogą wtedy nieść jajka, lecz pisklęta z nich się nie wylęgają, a spożywane przez drób, rozprzodkują w dalszym ciągu zarazę.

Cholera drobiu wybucha czasem w formie ostrej i tak gwałtownej, że za życia ptaków nie widać żadnych objawów choroby, a śmierć następuje masowo i nagle. Wtedy ogólne objawy są następujące: na-

głe posmutnienie, osowiałość, brak apetytu, wzmożone pragnienie, głowa opuszczona, schowana pod skrzydłami, które ciężko i bezwładnie opadają na dół, a grzebień, korale i płatki uszne fioletowo-siwe. U ptactwa wodnego występuje znaczne zaropienie spojówek ocznych, opuchnięcie powiek, a oczy zaklejone przyschniętą ropą.

Poza tem częste wymioty, silna biegunka, kał żółtawo-brunatny lub zielonawy, wodnisty z bryłkami lub smugami krwi. Z powodu silnej duszności dziób ustawicznie otwarty, oddech świszczący i rzęzenie, spowodowane zaatakowaniem oskrzeli i płuc. Pod koniec choroby wydobywa się z otworów dzioba znaczna ilość śluzowatej i spienionej cieczy, szyja się skręca w bok lub wyciąga nadmiernie ku przodowi, poczem następuje senność i śmierć wśród silnych drgań i krótkich kurczów.

Forma ostra cholery drobiu trwa od 1—3-ch dni, przewlekła czyli chroniczna nawet kilka tygodni. Poza powyższymi objawami przy formie przewlekłej występuje silna anemja, bladeść grzebień i zausznic, wychudzenie, nieustające rozwolnienie, przejawiające się tak wyglądem kału, jako też ubrudzeniem piór, które są stale mokre i zlepione, obrzęki stawów kostnych, spowodowane procesem zapalnym, które w znacznej mierze utrudniają ruchy ptactwa, powodując wielką ociężałość i niechęć do grzebienia i samodzielnego wyszukiwania pokarmu. Przy sekcji padłych sztuk dają się zauważyć duże zmiany anatomo-patologiczne: mięśnie są ciemno zabarwione, osierdzie czyli worek sercowy usiany wybroczynami krwi. Błona śluzowa dróg oddechowych pokryta jest ciągliwym, szarawym nalotem, płuca mają barwę ciemno-brunatną, a w przekroju zalewają się pienistą cieczą su-

rowiczą; wycinki zapalnych ognisk płucnych, wrzucone do wody, natychmiast toną. Błona śluzowa w żołądku jest silnie przekrwiona również, jak kiszki, dwunastnica i jelita cienkie. W wątrobie i nerkach występują ogniska białawo-żółte, a śledziona niekiedy tak miękka, że rozłazi się pod naciśnięciem. Gruczoły limfatyczne są obrzmiałe. Jajniki również, jak i cały przewód pokarmowy, silnie przekrwione.

Rozpoznawanie cholery drobiu bez pomocy badań mikroskopowych jest o tyle utrudnionem, że powyżej wymienione objawy i zmiany anatomo-patologiczne występować mogą także przy zatruciach i zakażeniu ogólnem. Wybuch choroby u większej ilości sztuk, zwłaszcza u wszystkich gatunków chowanego drobiu, nasuwa zwykle podejrzenie cholery, ale tylko dokładna sekcja z uwzględnieniem wszystkich przemian wewnętrznych i hodowla drobnoustrojów, branych z krwi i przedstawiających się pod mikroskopem, jako bakterje owalne, jajowate, barwiące się jedynie biegunowo, dają nam pewność cholery drobiu. Przebieg tej cholery jest zazwyczaj niepomysłny, najczęściej kończący się śmiercią; zależnym jest jednak w znacznej mierze od stopnia zjadliwości zarazków i odporności zarażonej sztuki. Lecząc, dajemy do przegotowanej wody do picia środki wewnętrzne odkażające, jak n. p. siarczan żelaza, kwas solny, błękit metylenu, odwar z mięty, opium, są to jednak środki, które w czasie epidemji częściowo tylko ochraniają i przeciwdziałają zarażeniu, osłabiając, neutralizując zjadliwość zarazka, gdy takowy się przedostanie do przewodu pokarmowego, jednak specyficznego środka leczniczego dotychczas niema.

(c. d. n.).

W. B.

OSZCZĘDZANIE CZASU PRZY GOTOWANIU

Obecnie, kiedy w większej części domów, szczególnie w mieście, cała służba się składa z jednej, przeważnie mało umiejętniej, służącej, same panie powinny się zająć nie tylko rozkładem zajęć na dzień cały, lecz szczególnie nauczeniem tej jedynej wyręczycielki umiejętnego użytkowania czasu przy przyrządzaniu posiłków, bo tutaj nie tylko czas służącej gra dużą rolę. Przy dobrze obliczonym czasie śniadania, obiady i kolacje są

podawane punktualnie, co daje możność panu i pani wydajniejszego użytkowania godzin między posiłkowymi. Prędkie przyrządzanie potraw daje ogromną oszczędność opału, co szczególnie przy gotowaniu na gazie, na nafcie i spirytusie się odczuć daje.

Oszczędność czasu przy gotowaniu można osiągnąć przedewszystkiem przez wcześniejsze przygotowanie wszystkich artykułów, w skład posiłku wchodzących, i przez od-

powiedni dobór potraw. Ogromną rolę przytem odgrywa sposób robienia zakupów. Jeżeli zakupy produktów mącznych, korzeni, tłuszczów, konserwów i t. p. robimy hurtowo, to nie tylko na cenie i wadze zyskujemy, oszczędzamy jeszcze moc czasu służącej, która nie potrzebuje biegać po każdy listek żelatyny lub ćwierć kilo kaszy. Ilość i jakość mięsa, jarzyn, śmietany i t. p. psujących się produktów powinna być omówiona wieczorem

przy dyspozycji jutrzejszego obiadu i kolacji i przyniesiona jaknajwcześniej przed rozpoczęciem sprzątnia. Oczywiście, o ile te zakupy robi pani sama, co, przy pewnej wprawie, zawsze oszczędniejsze, nic nie przeszkodzi zrobić je nieco później, zawsze jednak tak, aby dosyć czasu na ich racjonalne przyrządzenie pozostało. Zanim blachę się rozpali lub gaz otworzy, wszystko, co ma być użyte do potraw, musi już być przyszykowane: mięso wybite, posiekane lub zamarynowane, drób oprawiony, nadziany, posolony, ryby sprawione i posolone, jarzyny oczyszczone, pokrajane, wszelkie ciasto drożdżowe już zupełnie zamieszone i wyrośnięte, a nawet uformowane, jako paszteciki, bułeczki i t. p. Ciasto francuskie i kruche powinno stać godzin kilka na chłodzie przed użyciem, należy je zrobić zrana dnia tego, kiedy ma być użyte. Wszelkie rośliny strączkowe, jako to: fasole, groch dojrzały i groszek zielony i soczewicę należy namoczyć na dwanaście godzin przed użyciem, gdyby były bardzo suche, dodać na koniec noża sody, to o połowę lub więcej zmniejszy czas, potrzebny do ugotowania ich; wszelkie kasze, o ile mają być rozklejone, także samo moczyć należy, tylko czasu mniej potrzebują, około trzech do czterech godzin. Nie stosuje to naturalnie do kasz na sypko, które należy przed ugotowaniem zasmażyć masłem, słoniną lub oliwą. Kości, na zupełnie przeznaczone, należy namoczyć na dwie godziny w wodzie, poczem nastawić je w tejże samej wodzie, zmniejszy się to o połowę czas, potrzebny do zupełnego wygotowania z nich smaku. Włoszczyznę i jarzyny suszone należy namoczyć z wieczora przed użyciem, to nie tylko przyspieszy ich ugotowanie, lecz jeszcze sprawi, że będą smakowały zupełnie, jak świeże. Mięso, wybite na godzin parę przed duszeniem, jest o wiele kruchsze, kotlety bite, antrykoty i sznycle, wybite przed samym smaženiem, kurczą się i rozpadają, gdy poleżą godzin parę, zachowują po usmażeniu ładny kształt, nadany im przy zbijaniu. Dopiero, gdy wszystko jest zupełnie przygotowane, należy rozpać ogień i doń przystawić wszystkie rondle. Go-

tując na gazie lub na maszynie, należy zachować pewną kolejność, której tutaj nie mogę wyliczyć, gdyż za dużyby miejsca zajęła; przy moich co miesiąc podawanych obiadach na maszynie zawsze taką kolejność podaję, tutaj już powinien dopomóc zmysł orientacyjny jak samej pani, tak i kucharki. Gotując na blasze, lepiej jest rozpać od razu duży ogień, aby móc wyzyskać od razu wszystkie fajerki blachy, całą jej powierzchnię i piecyk pod nią, węgla przez to więcej nie wyjdzie, gdyż nie będzie trzeba go podkładać kilkakrotnie. Służąca, nie mająca już nic do przyrządzania, mieszania ani siekania, może doskonale dozorować kilka rondli i patelni. Obiad z zupy, mięsa, jarzyny i mniej wybornej leguminy przy takim systemie powinien wymagać więcej, niż godzinę czasu do jego sporządzenia czyli, ściślej mówiąc, do jego ugotowania. Oczywiście, rozmaite nasze narodowe potrawy: bigosy, flaki i t. p. nie dadzą się tak prędko udusić. Można je natomiast gotować przez dni kilka, wykorzystując jeszcze przez jakąś godzinę ciepło, pozostałe w piecyku. To kilkakrotne ich gotowanie wpłynie nawet korzystnie na ich smak.

Czuję objękę, jaką mi zrobią czytelniczki co do rosołu, gdyż, aby był smaczny, potrzebuje od trzech do czterech godzin wolnego gotowania. Odpowiem na to, że w wykintnej kuchni są całe szeregi potraw, potrzebujących dłuższego pieczenia, duszenia, wysa-

dzania. Jeżeli wyżej wspomniałam o flakach i bigosie, to dlatego, że właśnie stanowią one danie skromnej gospodarskiej kuchni, o której dzisiaj mowa. Otóż francuzi, którzy ogromnie racjonalną kuchnię prowadzą, mówiąc o klasie średniej, gotują rosół (pot au feu) raz na tydzień, przeważnie w niedzielę, uważając, że długość jego gotowania robi go potrawą kosztowną. Gotują go od razu na dni kilka zimą, a nawet i latem. Aby nie skwaśniał, należy precedzić go starannie, aby ani żdziebelka włoszczyzny w nim nie pozostało, i codzień rano raz go zagotować. Włoska kuchnia zna takiż sam, na kilka dni gotowany rosół (il brodo), służący za podstawę do różnych zup, przeważnie zasypywanych różnego rodzaju makaronem i kluseczkami. Przy dyspozycji obiadów należy zawsze uwzględniać czas, potrzebny na przygotowanie poszczególnych potraw, na przykład, w obiedzie, w którym już figurują kołduny lub pierożki z owocami czy serem, nie obstawowywać pasztecików, szpikowanej zwierzyny lub tłuczonego groszku. Biorę pierwsze lepsze przykłady, jakie mi do głowy przychodzą; każda gospodyni sama skombinuje, jakie dania więcej czasu do ich przyrządzenia wymagają i będzie się starała, jeżeli nie zupełnie ich unikać, to chociaż w każdym obiedzie czy kolacji stosować je w pojedynczej liczbie. Najprędsze do zrobienia są wszelkie mięsa smażone: befsztyki, rumstyki, antrykoty, wszelkie sznycle i kotlety bite oraz cielęcina, baranina i kurczęta bądź w potrawce, bądź duszone w mniejszych ilościach. Wszelkie pieczyście w piecu wymaga znacznie więcej czasu. Jarzyny młode gotują się bardzo prędko, wszelkie ich dłuższe duszenie i podprawianie mąką, cukrem, mlekiem i t. p. tylko smak ich psuje. Świeże masło, włożone do nich na chwilę przed podaniem, jest jedynym smacznym do nich dodatkiem. Zlegumin wszelkie omlety, suflety, budynie nie wymagają tak dużo czasu, kompoty, kisielki, galarety i blanc manger jeszcze mniej, należy tylko zawsze naprzód pomyśleć, co mamy zamiar podać, aby roboty były wykonane w odpowiednim czasie,

Pani Elżbieta

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102-77.

Zawiadamia swoje pacjentki, że od dn. 8 sierpnia do 2-go września przyjmować nie będzie z powodu wyjazdu.



Przepisy gospodarskie



LESZCZ PIECZONY.

Bardzo dużego i tłustego leszcza (wagi około czterech kilo, gdyż mniejsze są nadto ościste) oczyścić, osolić zewnątrz i wewnątrz i nadziać następującym farszem: pół funta masła utrzeć na śmietaną, wsypać w to pół funta tartej bułeczki, wlać parę łyżek rosółu lub wrzółku, wsypać garść zielonej pietruszki siekanej i tyleż kopru, wbić dwa jaja całe, mocno wyrobić; gdyby masa była za sucha, dodać wody lub rosółu. Leszcza zaszczuć, aby nadzienie nie wypadło. Na dużej brytfannie położyć na krzwz nieco łuczwywa, aby ryba nie mogła przystać do dna, na to położyć leszcza, na wierzch kawałki masła, rozrzucone po całej rybie, i dużo pokrajać w plastry cebuli. Piec w chlebowym piecu lub chociaż pod blachą. Gdy się z góry dobrze zrumieni, przewrócić i postawić tak samo z drugą stroną. Gdy ryba się dobrze przepieczy, to jest przy próbie zupełnie odstaje od ości, przełożyć ją ostrożnie na półmisek lub deskę, owiniętą czystą serwetą. Jest to wyborne pieczyście do pośnego obiadu. Do tego zielona sałata z oliwą i octem lub ze śmietaną, mizerja z ogórków lub ogórki świeżo solone.

MATELOTE LETNIA Z RYBY.

Z drobnych, niepozornych ryb lub mających mało smaku najlepiej robić tę potrawę. Obrąć pół kilo czystej ryby, bez ości, przepuścić przez maszynkę wraz z trzema przysmażonemi w maśle cebulami, pół szklanki maki przennej zasmażyć z dobrą łyżką masła, rozprowadzić dwoma szklankami smaku, wygotowanego z ości i głów ryb z solą, pieprzem i listkiem, zagotować, dodać do rybnej masy. osolić do smaku, popieprzyć, włożyć pół szklanki gęstej śmietany i garść drobno usiekanego kopru, na koniec wbić trzy żółtka i wyrabiać masę aż się stanie jednolita. Formę budyniową lub rondel ze szczelną pokrywą wysmarować masłem i wysypać sucharkiem, pozostałe białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z resztą przypraw, włożyć w formę, zakryć szczelnie, wstawić w rondel z wrzącą wodą, która powinna dochodzić do połowy formy tylko.

Gotować godzinę, poczem pokrywę zdjęć, budyń wyrzucić na półmisek, obłożyć wkoło młodymi kartoflami i polać roztopionem masłem lub podać oddzielnie sos koperkowy ze śmietaną, rakowy z szyszkami czy pomidorowy.

MACIEK BARANI

Potrawa, którą można zrobić tylko na wsi, kiedy się bije własnego barana, lub w małym miasteczku, gdzie rzeźnik na żądanie pozostawi w całości siatkę łojową wewnętrzną z barana.

Dobrze przyrządzone, jest tak smaczne, że może zastąpić gorący pasztet przy śniadaniu lub obiedzie.

Wątróbkę, płuca i serce młodego barana nastawić, gotować z włoszczyzną, cebulą, pieprzem i listkiem. Wody powinno być tylko tyle, aby mięso było nią pokryte. Gdy wszystko zupełnie miękkie, włoszczyznę odrzucić, mięso przepuścić przez maszynkę, trzy spore cebule zasmażyć w maśle, wymieszać z siekaniną, osolić, popieprzyć, wsypać filiżankę tłuczonej bułeczki suchej, wlać szklankę lub więcej tłustego rosółu, w którym się mięso gotowało, dodać, stosownie do gustu, garstkę koperku siekanego lub łyżkę tartego majeranku. Farsz ten włożyć w siatkę barania, zawinąć ładnie, nadając kształt pasztetu.

Na wielkiej patelni zrumienić łyżkę masła, położyć na tem maciek, wstawić w dobrze gorący piec, zrumienić mocno, polewając tem masłem i tłuszczem, jaki z siebie wypuści. Gdy dobrze rumiany, ogień zmniejszyć i piec jeszcze w wolnym piecu (zalednie od wielkości) trzy kwadransy do godziny. Przed podaniem nakrajać w duże kawały, jak się tort kraje. Podać bardzo gorący. Do niego można podać młode kartofelki lub purée kartoflane i jakiś sos rumiany, kaparowy, cytrynowy lub pomidorowy.

SUCHARKI BEZ JAJ

Można je zrobić na poczekaniu wraz z wysuszeniem powtórnem. Robota ich trwa półtorej godziny.

Szklanka śmietany, szklanka cukru, trzy szklanki maki, łyżka masła, pół łyżeczki soli, tyleż sody, dla smaku nieco wanilii lub otartej skórki cytrynowej. Ciasto wyrobić doskonale, dać ciastu postać pół godziny, uformować długie, cienkie wałeczki (ciasto to rośnie prawie powtórnem), upiec pod blachą do silnego zrumienienia. Gdy na wpół przestygną, pokrajać ostrym nożem w poprzek na cienkie sucharki, ułożyć napowrót na blachę i zrumienić przez kwadrans w lekkim piecu. Dosuszyć jeszcze, aż się staną zupełnie chrupiące.

KWASY OWOCOWE

Można je robić z każdego prawie owocu. Stanowią tani orzeźwiający napój na dnie upalne.

Dwa litry malin, truskawek, porzeczek czerwonych lub czarnych, a nawet wiśni zalać sześciu litrami wody, zagotować mocno, aby jagódki popękały, przelać przez gęste sito lub przecedzić przez worek flanelowy, używany do cedzenia soków owocowych na syrop lub galaretę. Płyn ten zmierzyć. Na każdą szklankę włożyć kopiastą łyżkę cukru i na całą tę ilość jedno deka drożdży. Mieszać starannie, aż cukier i drożdże się rozpuszczą. Czysto wymyte i dobrze wysuszone butelki ponalewać tym płynem równo z szyjką, zakorkować mocnymi korkami, pozawiazywać drutem lub mocnym szpagatem. Trzymać butelki dobową całą w kuchni lub ciepłym pokoju, poczem się je wynosi do piwnicy lub lodowni. Po dwóch dniach mamy wyborny, szumujący silnie napój. Z tej ilości wychodzi dziesięć do jedenastu zwykłych butelek od wina.

KWAS MIODOWY

Pół kilo dobrego, aromatycznego miodu i tyleż cukru rozpuścić w piętnastu butelkach gotowanej wody, wlać w to butelkę czarnego piwa i włożyć jedno deka drożdży, przykryć serwetą, dać tak postać ze cztery godziny. Powlewać do czystych, suchych butelek, zakorkować mocno, odrutować korki lub pozawiazywać mocno szpagatem. Przez dwadzieścia cztery godziny trzymać w kuchni lub opalanej izbie, potem wynieść do piwnicy lub lodowni. Po dwóch dniach jest już zdatny do picia. Kwas ten jest tak mocny, że często butelki rozrywa, należy go więc trzymać leżący w piasku lub na lodzie i przy odkorkowywaniu zachować należną ostrożność. Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Niezawodnym środkiem na oparzenie jest posmarować natychmiast oparzone miejsce surowem rozbitym jajkiem, powtarzać tę czynność kilka razy, dopóki zaczerwienienie nie zniknie i skóra piec nie przestanie.

* * *

Maliny dłużej nie mogą rosnąć na miejscu, jak lat pięć, potem dziczeją i drobnieją. Chcąc, aby jagody były duże, po zdjęciu ich w połowie lipca na młodych krzakach, zostawionych do rodzenia, przylamywać wierzchołki, a będą miały wielki i dorodny owoc.

Korespondencje działu praktycznego

p. Janina Ch.

W sprawie posady radzę się zwrócić do Tow. Ochrony Kobiet—Mazowiecka 11 w Warszawie, które prowadzi dział pośrednictwa pracy.

p. Zofji M. z Płońska.

Chcąc odświeżyć zmięte wstążki, trzeba je rozłożyć na płótnie i, rozpuściwszy 25 gr. gumy arabskiej w szlance wody, maczać w niej gąbkę i wycierać nią wstążki po lewej stronie. Potem wyprasować także po lewej stronie, a wstążka będzie, jak nowa.

p. A. G. P.

Czarne wełniane suknie bardzo dobrze piorą się w żółci. Na garniec wody bierze się dwie łyżki żółci i łyżkę rozgotowanego mydła. W tej mieszaninie trzeba dwa razy uprać poprutą suknię, potem przepłókać, a po wysuszeniu zmaglować.

Zdesperowanej.

Istnieje sposób bardzo prosty zabezpieczenia od rdzy przedmiotów żelaznych, polerowanych i stalowych: trzeba je rozgrzać silnie, potem natrzeć białym woskiem, rozgrzać po raz drugi i, skoro wosk stopnieje, wytrzeć mocno kawałkiem sukna lub skóry.

Przedmioty z alabastru myje się wodą z białym mydłem. Po umyciu trzeba je zanurzyć w czystej wodzie i, wysuszywszy, natrzeć sproszkowanym gipsem za pomocą twardego pędzelka.

Niedoświadczonej.

Nie wymienia Pani miejscowości, o którą Pani chodzi, pytając, jakie stroje obowiązują w ciągu dnia i wieczora.

Pod tym względem w miejscach, położonych nad naszym morzem, panują różne zwyczaje. Gdynia np. pozuje na Europejską plażę, więc życie w wielkich hotelach wymaga pewnego skrupowania, gdy tymczasem Orłowo albo miejsca, położone na Helu, jak Knimce, Jastarnie i t. d., pozostawiają swoim mieszkańcom zupełną swobodę. Na ogół na obiady nie chodzi się w kostiumie kąpielowym, w którym spędza się czas na plaży.

Niejednokrotnie jednak na śniadanie, na salę ogólną schodzą panie w płaszczach kąpielowych, okrywających kostjumy, aby nie

tracić czasu na ciągle przebieranie się. Przy obiedzie obowiązuje już jakaś letnia suknia, ale radzę nie zabierać ze sobą sukien strojnych i łatwo ulegających zniszczeniu, bo nie okażą się praktyczne w tamtejszych prymitywnych warunkach.

W każdym razie trzeba wziąć coś ciepłego: szal, sweater i t. d., bo wieczory są chłodne nawet po dniach upalnych.

Halinie J. z Gronowa.

Przedmioty złote czyści się wodą z mydłem; po umyciu należy wyczyścić je szczoteczką, zmaczną w kredzie oczyszczonej i rozrobionej z wodą, a potem wytrzeć je rękawiczką. Tym samym sposobem czyści się także drogie kamienie.

* * *

Wszystkiem Czytelniczkom, które interesują się sprawą sztucznego dokarmiania niemowląt i sposobem przygotowania mleka humanizowanego radzimy przeczytać książkę p. t. „Odżywianie dziecka” F. Truby King, wydane przez Ognio.

* * *

Dr. Julja Świtalska wyjeżdża 8 sierpnia do Paryża dla zbadania najnowszych metod z zakresu kosmetyki higienicznej. Do dnia 2-go września odpowiedzi na zapytania udzielane nie będą.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Opis sukien i robót do Nr. 32

577. Płaszcz z jedwabiu, przybrany guzikami, podbity moltonem do połowy i cały na barwnym crêpe de chine'ie.

578. Suknia z białego surowego jedwabiu, przybrana czarną mereżką. Płaszcz z jedwabiu świecącego, podbity białym crêpon'em, także mankiety i kołniercz.

579. Sukienka spacerowa dla młodej panienki, przybrana układaniami falbankami i paskiem zamszowym.

580. Suknia koloru malinowego, przybrana krolą koloru malinowego z popielatym.

581. Spódniczka, układana z popeliny brązowej. Bluzka piaskowa, przybrana sutazem brązowym.

582. Sukienka z woalu granatowego, przybrana ponsowym kołnierzykiem i mankietai.

583. Sukienka dla młodej panienki z lekkiej wełny, przybrana guziczkami z perłowej masy.

584. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10, przybrana falbanką białą batystową. Sukienka może być różowa lub niebieska.

585. Sukienka dla panienki od lat 12 do 15 z woalu granatowego. Bluzka łączona ze spódniczką mereżką.

586. Suknia z gabardiny jasno-brązowej, spód ciemno-brązowy. Kołnierzyk, przód i obramowanie koloru écru, stebnowane brązowym jedwabiem.

587. Sukienka strojna dla panienki z sukna fraise, przybrana haftem czarnym, krawacik i pasek koloru czarnego.

588. Suknia z woalu zielonego, haft ciemno-zielony, przerabiany złotą nitką.

589. Szlafrok z rozciętymi rękawami z lekkiej wełny lub jedwabiu deseniowego, przód zapięty na guziki z masy perłowej.

590. Pyjama z satyny deseniowej, przybranie z satyny w jednym kolorze.

591. Pyjama z lekkiego sukienka lub flaneli, naszyta sznureczkiem.

592. Kombinacja z crêpe de chine'u różowego, przybrana mereżką i galonem chantilly.

593. Kombinacja z markizety białej, przybrana zębami z welansjenki.

594. Kombinacja z markizety różowej, przybrana motywami podłożnymi filet i haftem.

595. Koszula z białego opalu, przybrana tiulem haftowanym i okrągłymi motywami.

596. Majtki strojne, przybrane haftem bardzo ażurowym na batystie.

597. 598. 599. Haft na koszule, ażurowy, łączony mereżką.

600. Wzór na teczkę, haft kolorowy, wyszywany paciorkami. Tło podmalowywane.

601. Motyw na teczkę. Haft kolorowy.

Nadesłane do Redakcji

Kobiety, wyjeżdżając do górskich okolic, winne pamiętać, że słońce górskie wywołuje przedwczesną siwiznę. Chronicie włosy, myjąc często Shampoone-Miraculum Doktora Lustra.